7 DNI

CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



KAWALERZYŚCI POLSCY GOSZCZĄ ZAGRANICZNYCH ZAWODNIKÓW W WARSZAWIE (fot. Pełczyński).

JEAN MARTET.

Clemenceau—Foch...

Jak Clemenceau przystąpił do napisania „Blasków i Nędzy Zwycięstwa"

Copyright Agence Litteraire Internationale, Paris.

1 MAJA.

BURŻUAZJA.

DYSKUSJA PARLAMENTARNA W SPRAWIE TRAKTATU. THIAUCOURT.

2 maja 1929 r.

Zastaję Clemenceau w ogrodzie. Wygląda jaknajgorzej: cera ziemista, oczy żółte.

CLEMENCEAU. — Jestem przygnębiony. Przypuszczam, że nie podołam i że pan będzie musiał skończyć książkę za mnie.

J. MARTET. — Niechże pan tak nie mówi.

CLEMENCEAU. — Wprost przeciwnie. Mówię to poważnie. Powinien się pan do tego przygotować, bo jest niedobrze. Pamięć... Nie mam już pamięci.

J. MARTET. — Czy można panu coś poradzić? Otóż proszę bardzo, niech pan nie wkracza w dziedzinę filozofji. Francuz nie ma głowy do tego.

CLEMENCEAU. — Cóż znowu! Opowiem o wszystkiem w najprostszy sposób. No, a Fagalde? *)

J. MARTET. — Pisał do mnie. Przyjeżdża jutro. Zdaje mi się, że przywiezie ze sobą papiery. **)

CLEMENCEAU. — Doskonale się składa. Potrzebuję go. Spodziewam się również Mordacq'a. A powracając do filozofji — jest pan w błędzie, gdyż piszę tak, jakby to miało się odnosić do stróża z mego domu. No, a pozatem, jak przeszedł 1 maja?

J. MARTET. — Nic. Widziałem, jak towarzysze związkowi załadowani zostali do samochodów i wiem, że cały dzień spędzili przy kartach siedząc po komisarjatach policyjnych. *Journal* opowiada o tem, że wystarczyło w St. Denis mieć czerwoną chustkę na szyji lub palić po łobuzersku papierosa, aby natychmiast wyłuskano takiego typa z pośród tłumu — i do paki...

CLEMENCEAU. — Wyznam szczerze, że nie popieram podobnego postępowania, nie chcę również powiedzieć przez to, żebym czynił jakiekolwiek zarzuty. Zadaję poprostu prefektowi policji, Chiappe'owi pytanie:

— Cóżeś zrobił, bracie, ze swobodą?

J. MARTET. — Nie chcę źle sądzić o tym systemie. Bezprawie. Czegoż jednak możemy się spodziewać się po legaliźmie?

CLEMENCEAU. — Jeśli mam szczerze radzić — to lepiej będzie jeśli pan ograniczy się na myśleniu o podobnych rzeczach. Ale lepiej o nich nie pisać.

J. MARTET. — Poczciwi burżuje natomiast czują się pewniejszymi.

*) Fagalde — były zastępca attaché wojskowego w Londynie.

**) W sprawie angielskich sił zbrojnych.

CLEMENCEAU. — Daj pan spokój burżuazji. Brzydzę się tych ludzi. To tchórze.. Co mi pan jednak przynosi?

J. MARTET. — Sprawozdanie z debaty parlamentarnej na temat Traktatu.

CLEMENCEAU. — Przelewanie z pustego w próżne. Nudzą mnie te ględy...

J. MARTET. — A jednak musi pan zapoznać się z tym materjałem.

CLEMENCEAU. — Nie, panie, ani jednego wiersza z tego nie przeczytam. Nie będę przecież czytał wynurzeń Barthou.

J. MARTET. — Należałoby przynajmniej zapoznać się z temi z nich, które mogą okazać się interesującemi.

— CLEMENCEAU. — Niema takich. Nie powie mi pan przecież, że komentarze Renaudel'a są zajmujące?

—J. MARTET. — Niechże pan odczyta przynajmniej te, które pan sam poruszał. Niechże pan zwróci uwagę na wywodyTardieu, lub Loucheur'a. Trzebaż chyba zapoznać się z tem, co panu zarzucają.

CLEMENCEAU. — Czyżby Tardieu miał mi coś do zarzucenia?

J. MARTET. — Odpowiada tylko na zarzuty, które są panu stawiane.

CLEMENCEAU. — Zarzuty? Niechże pan sprecyzuje, co też mi zarzucają? Ale prędko...

J. MARTET. — Wszystko i różne rzeczy. Najgłówniejszem jest to, że pan nie zainteresował Izby — a conajmniej jej komisji — do tego, co pan przedsiębrał.

CLEMENCEAU. — No, wie pan, że to dopiero byłoby czemś bezpodobnem. Wyobraża sobie pan jak ludziska ci zakręciliby się dokoła tych spraw!

J. MARTET. — Niech pan nie zapomina, że to Republika.

CLEMENCEAU. — Republika, ale na ich kopyto. W mojem pojęciu rzecz nie na tem polega.

J. MARTET. — A na to panu odpowiedzą, że jeśli nie wciągnięto Izby, to należało przynajmniej wygrać batalję. A pan jej nie wygrał.

CLEMENCEAU. — No, a co dalej?

J. MARTET. — A na to panu odpowiedzą, że — a pan tego nie uczynił. Nie położył pan ręki na lewem wybrzeżu Renu. Nie spowodował pan rozczłonkowania Rzeszy. Zawarł pan natomiast pakt z Anglją i Stanami, który, w gruncie rzeczy, niczego nie przyniósł. Zdanie pańskie o tej sprawie nie zostało uzgodnione ani z Italją, ani z Belgją, ani z Luksemburgiem i t. d. i t. d. A odpowiedź na to można znaleść chociażby w przemówieniach Tardieu. Oto bowiem, co oświadczył w swoim czasie:

„— Czyżby nie rozbrojono Niemiec? Pozostawiono im 288 dział polowych."

CLEMENCEAU. — Właśnie. Trzeba było odebrać im wszystkie pałki.

J. MARTET. — A wówczas jeszcze pozostałyby im lasy.

CLEMENCEAU. — Niech mi pan przypomni przebieg debaty.

J. MARTET. — Podpisanie pokoju w Wersalu nastąpiło w dniu 28 czerwca 19-go roku. W dwa dni później składa pan traktat oraz umowy anglo-francuską i franko - amerykańską Izbie. Wygłasza pan mowę. Podkreśla pan w niej, że „odwieczne dążenie do przewagi zbrojnej będzie ostatecznie zniweczone pod warunkiem wszakże, jeśli pozostaniemy wierni obowiązkowi".

CLEMENCEAU. — Obowiązek!... Czyż nie wyciska to łez do oczu, Martet?

J. MARTET. — Zapewne. W dniu 2 lipca zebrała się komisja pokojowa, nazajutrz Viviani został obrany na przewodniczącego. Louis Barthou— na referenta.

CLEMENCEAU. — Jazda dalej! To mnie nie wzrusza.

J. MARTET. — W dniu 8 lipca komisja zasiada do pierwszego owego zebrania. W dniu 17-ym staje pan przed jej forum i udziela informacyj odnośnie do sprawy lewego brzegu Renu. Oświadcza pan, że „marszałek Foch został całkowicie upoważniony do wypowiedzenia się ustnie lub też na piśmie, co też uczynił na Radzie Czterech, na posiedzeniu plenarnem i na zebraniu Rady Ministrów".

CLEMENCEAU. — Rzeczywiście. Wszędzie. Nigdy mu nie odmówiono prawa wypowiedzenia się. Nieszczęściem jego było to, że nikt nie podzielał jego zdania.

J. MARTET. — W dniu 1 sierpnia komisja uchwaliła większością 34 głosów przeciw 1 ratyfikację traktatu. 5-go sierpnia Barthou odczytuje komisji swój raport, w którym wyraża żal za to, że nie uwzględniono całkowitego zniweczenia dzieła Bismarka i że nie rozczłonkowano Rzeszy.

CLEMENCEAU. — I to on właśnie, Barthou, miał by tego dokonać? Nie nudź mnie pan lepiej temi historjami.

J. MARTET. — Wypowiedziano się za opinją Barthou jednomyślnie, z wyjątkiem dwóch głosów...

CLEMENCEAU. — A w tem jego własny, zapewne. To doprawdy człowiek, co jednocześnie może dmuchać na zimno i na gorąco.

J. MARTET. — 26-go sierpnia Izba rozpoczyna debatę. Wysłuchano na wstępie przemówienia Chappedelaine'a, który zadał szereg pytań jako to: „Czy pokój światowy jest zapewniony? Czy Francja jest zabezpieczona? Czy Austrja nie przyłączy się do Niemiec? A co z Rosją?".

CLEMENCEAU. — Widzi pan! Ludziom tym zdawało się, że drogą jednego traktatu można odbudować dzieło samego Boga!

J. MARTET. — Przemówienie Raiberti'ego, w którem wypowiada opinję,



Jedno z ostatnich zdjęć Clemenceau, w rozmowie z pułkownikiem House, zaufanym przyjacielem prezydenta Wilsona i świadkiem wypadków, o których pisze „Tygrys".

iż siła gwarancyj leży w instytucji Ligi Narodów.
CLEMENCEAU. — Dość tych żartów! A dalej co?

J. MARTET. — 27-go przemawia Margaine. Żałuje, że nie zdeptano ducha militaryzmu Niemiec, że jedność Rzeszy została usankcjonowana i t. d. Dochodzimy do przemówienia Barthou, który 2-go września złożył następujące oświadczenie: „Będę głosował za Traktatem. Należałoby jednak zapewnić w sposób bezwzględny jego wykonanie. Strzeżmy się. Niechaj ustępstwa, które okazujemy, nie będą komentowane jako oznaka naszej słabości".

CLEMENCEAU. — Nie?! I on to powiedział?

J. MARTET. — Tak jest.

CLEMENCEAU. — Barthou mnie rozczula. Wie pan, ze wszystkich biustów Cogné jeden jest nadzwyczajny — to właśnie Barthou. Ma uśmiech takiego pana, dla którego wyraz „bezwzględny" ma specyficzne znaczenie. Ale dosyć już mam tych przemówień. Dajmy im spokój.

J. MARTET. — W dniu 2 października ratyfikowano Traktat większością 372 głosów przeciw 53.

CLEMENCEAU. — Doskonale. Przeczytam sobie to wszystko. Przeżuję na nowo te historje.

J. MARTET. — Przynoszę panu również notatkę, którą zapisał generał Mordacq w sprawie stosunków pańskich z Fochem.

CLEMENCEAU. — Czytaj pan.

J. MARTET. — *1 października 1918. Marszałek oświadcza, iż nie jest podwładnym Prezydenta...*

CLEMENCEAU. — Na co mu odpowiedziałem: „Niech pan nie waży się igrać sobie w ten sposób".

J. MARTET. — *2 października. Generał Weygand udaje się do kwatery generała Pershinga. Ten ostatni oświadcza, iż nie spełni rozkazu marszałka i nie wyśle dywizyj amerykańskich wojskom francuskim.*

CLEMENCEAU. — Pomyśleć tylko, że z takimi ludźmi wygraliśmy wojnę!...

J. MARTET. — *10 — 15 października. Marszałek, zakazuje generałowi Pétain składać raportu prezydentowi o stanie armji amerykańskiej.*

CLEMENCEAU. — Zanotujmy to. Życzeniem jego było, żebym ponosił odpowiedzialność — co zaś do kierownictwa, sam je sobie pozostawiał.

J. MARTET. — *14 października. Generał Mordacq udaje się do Bourbon. Marszałek tu oświadcza, że poprzedniego dnia zawezwał do siebie Pershinga i zażądał od niego „wyników".*

18 października. Prezydent poleca marszałkowi, aby posłano dwie dywizje amerykańskie do rozporządzenia Haig'a. Marszałek odpowiada, że „zastanawia się nad tą sprawą".

21 października. Na zapytanie telefoniczne marszałek Foch oświadcza, iż zanim poweźmie decyzję, pragnie dokładnie zdać sobie sprawę ze stanu, w jakim znajdują się Amerykanie.

24 października. Marszałek odpowiada na list z dn. 21 października. Nie wspomina w nim o dywizjach amerykańskich, przeznaczonych dla Haig'a.

CLEMENCEAU. — Oto rzeczywiście obraz tego jak się przedstawiały moje stosunki z Fochem. Dam temu miejsce w swojej książce i zatytułuję: *Niesubordynacja wojskowa*. Te drobne porywy, na niezależność, drogo nas kosztowały.

Pan wie, że byłem u Pershinga. Zapytałem go, czy to prawda, że Foch — jak pisze o tem Recouly — posłał mu rozkaz pisemny, na który Pershing odpowiedział odmownie.

Na co ten mi oświadczył, że bynajmniej nie pamięta, żeby zaszło coś podobnego.

Opowiedział mi, że Foch i Pétain polecili mu wykonać jedną operację, co też i uskutecznił. A na to ci wrócili do niego po pewnym czasie i oświadczyli mu, że „już nie tak potrzeba. Że teraz należy zrobić co innego". Wobec tego odpowiedział im, iż nie może działać w podobnych warunkach, o czem powiadomi swój rząd.

J. MARTET. — Ten także miał specyficzny pogląd na dyscyplinę!

CLEMENCEAU. — Oni wszyscy są jednakowi. Pershing był przeświadczony o tem, że wszystko wie, i że to on nas nauczy sztuki wojennej. A oto przykład: przyjeżdżam pewnego razu do jego kwatery. Bitwa wrzała. Zapytuję go:

— Dokąd mam jechać?

A on mi na to:

— Dokąd pan chce. Aby nie do Thiaucourt.

Wobec czego mówię swemu szoferowi:

— Wal prosto na Thiaucourt.

Przyjeżdżam na miejsce. Byłem z gen. Mordacq. Może mu pan to przypomnieć. Nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego... Wszystko zakorkowane! Droga, pola. — Wszystko zapchane było ludźmi, którzy biegali we wszystkich kierunkach, bez sensu... Kroku nie można było zrobić. I to jest właśnie, co Pershing nazywał sztuką prowadzenia wojny...

CLEMENCEAU PISZE SWOJĄ KSIĄŻKĘ.

w St. Vincent - Sur-Yard.

8 lipca 1929 r.

JEAN MARTET. — Co słychać z książką?

CLEMENCEAU. — Dam panu do przeczytania dwa rozdziały: wstęp i rozdział, który zatytułowałem: *Aux chances des rencontres*. Chodź pan do mego pokoju. Opowie mi pan, co o tem można myśleć. *(Wchodzimy do pokoju. Clemenceau podaje mi kilkanaście kartek maszynodruku)*. Czytaj pan. *(Zabieram się do lektury. Clemenceau patrzy na mnie przez cały czas. Skończyłem.)*. No więc?

J. MARTET. — Czy mam panu powiedzieć wszystko, bez ogródek?

CLEMENCEAU. — Oczywista. Po to pana prosiłem.

J. MARTET. — Jeśli więc chodzi o wstęp, pozwolę sobie zauważyć trzy rzeczy: 1-o. Styl jest zanadto ściągnięty. To nie jest zrozumiałe dla szerokich mas, które pan pragnie poruszyć. Za dużo rzeczy chce pan zawrzeć w jednem zdaniu, w jednem słowie.

CLEMENCEAU. — No, dobrze... aczkolwiek nie podzielam całkowicie pańskiego zdania... a dalej?

J. MARTET. — Przyznam panu, że niechętnie to robię. Wygląda na to, że chcę pana czegoś nauczyć.

CLEMENCEAU. — Jedźmy dalej! Nie trać pan czasu.

J. MARTET. 2-o. Powtarza się pan.

CLEMENCEAU. — Wiem o tem. Zanotowałem sobie nawet odpowiednie miejsca, które przerobię przy wykończeniu całości.

OR - OT.

Czerwiec

Jabłoni wonny płynie kwiat,
Idzie wieczorny, cichy czas,
I taki jasny, złoty świat
Dokoła nas.

Listek po listku spada z drzew,
Różową ścieżkę ściele ci —
Czy słyszysz pieśń? Czy słyszysz śpiew?
Odpowiedz mi!

Czy słyszysz pieśń, co w sercu mem,
Dla ciebie dzwoni noc i dzień:
Tyś jest mem życiem, moim snem,
A reszta — cień!

A reszta cień — i mrok — i nic,
A z tobą szał — i czar — i raj, —
Och, nachyl ust i nie broń lic,
I rączkę daj!

Aleja tam przez długi sad
Kędyś do słońca ciągnie się, —
Chodź ze mną wraz, za słońcem wślad,
W marzeniu, w śnie...

Chodź ze mną wraz do kraju snów,
Gdzie ludzie wchodzą tylko raz —
Zbudzim się znów, ockniem się znów,
Gdy przyjdzie czas.

Jak widma dwa z zaziemskich stref
Będziemy szli w tę dal, w tę dal,
Pośród kapiących kwieciem drzew,
Nad brzegi fal.

I siądziem tam i będziem śnić,
Wpatrzeni w blask gasnących zórz,
Aż pryśnie czar i pęknie nić,
Węzeł dwu dusz...

O, pójdź, o, pójdź, bo choćby lat
Tysiące żyć wśród ziemskich stron,
Raz tylko kwitnie serca kwiat,
Raz rwie się on!

Listek po listku spada z drzew,
Różową ścieżkę ściele ci —
Czy słyszysz pieśń? Czy słyszysz śpiew?
Odpowiedz mi...

J. MARTET. — Widać w tem myśl, która stara się przebić. To bardzo piękne. Ale...

CLEMENCEAU. — Przechodzimy więc do trzeciego punktu?

J. MARTET. — 3-o. Za dużo jest rzeczy w tym wstępie, który w istocie powinien być jednym „skokiem".

CLEMENCEAU. — „Skokiem"? Co pan przez to rozumie?

J. MARTET. — Tak jest... Bo, widzi pan, te dziewięć lat milczenia i nagle ukazuje się pan znowu na widowni z oświadczeniem: „Będę mówił! Oto zaczynam!".

CLEMENCEAU. — Tak... tak... Można się w ten sposób również na to zapatrywać... Ma pan może rację. Nawet z pewnością. Przerobię to po skończeniu całej książki. Kto wie czy nie będę zmuszony napisać wstępu na nowo.

J. MARTET. — Bo o to chodzi, żeby pan nie starał się wtłoczyć całej książki w ramy jednego rozdziału. Za dużo pan chce odrazu powiedzieć.

CLEMENCEAU. — Słusznie... No, a drugi rozdział?

J. MARTET. — Jeśli chodzi o styl, to bezwzględnie jest tym razem dostępniejszy, bardziej potoczysty. Mam tylko zastrzeżenie co do długości noty Mordacq'a, którą pan podał w całości, *in extenso*, i w której generał opowiada, jak to za jego przyczyną Foch został mianowany Dyrektorem Szkoły Sztabu.

CLEMENCEAU. — Bo tak było w rzeczywistości.

J. MARTET. — Nie wątpię o tem...

CLEMENCEAU. — Uważa pan, że to nie jest interesujące?..

J. MARTET. — Zapewne. Lecz, widzi pan, nie należy, aby w tej książce więcej mowy było o gen. Mordacq, niźli o Clemenceau. Mordacq podzieliłby z pewnością moje zdanie. A jeśli dał panu tę notatkę, to był przekonany, iż pan ją przerobi, a nie zacytuje in extenso.

CLEMENCEAU. — Cóżbym miał w tem przerabiać? Przecież to najzupełniej jasne.

J. MARTET. — A więc trzeba skrócić.

CLEMENCEAU. — Niechaj będzie i tak. Skrócę. A reszta — dobra?

J. MARTET. — Bez zarzutu.

CLEMENCEAU. — No, to dobrze. A teraz pana poproszę o wykonanie małego opracowania. Zabierze pan ze sobą te segregatory z moją korespondencją, z roku 18-go i 19-go i spisze mi pan notatkę o siłach amerykańskich i o historjach, które zaszły pomiędzy mną a Pershingiem.

J. MARTET. — Czy to ma być długie?

CLEMENCEAU. — Tak, tak... Dużo szczegółów. Chciałbym, żeby ludzie zrozumieli, że nie wystarczy usunąć Malvy'ego i Caillaux, aby doprowadzić do 11 listopada. Człowiek, który pragnie coś uczynić uzbraja wszystkich przeciw sobie. Oto Foch mówił kiedyś, że pozostał w doskonałej komitywie z Pershingiem. Przyznam panu, że co do mnie, to miałem co innego na głowie, niźli zastanawianie się nad tem, czy pozostanę z tym lub owym w dobrej komitywie. A zresztą nic takiego nie zaszło. Jestem jednak zdania, że nie po to zajmowałem to stanowisko, żeby wyrabiać sobie stosunki.

16 lipca 1929.

CLEMENCEAU. — Siadaj pan tutaj. Przeczytam panu nowy wstęp.

J. MARTET. — Czyżby pan całkowicie go przerobił?

CLEMENCEAU. — Tak jest. Dzisiaj, w ciągu nocy...

J. MARTET. — Zdawało mi się, że chciał pan skończyć uprzednio całą książkę, a potem dopiero zabrać się do wstępu?

CLEMENCEAU. — Kiedy mi to żyć nie dawało... Wolałem pozbyć się tego odrazu. Rozumie pan — książkę tę piszę i ciągle przerabiam... myślę o niej dzień i noc...

J. MARTET. — Nie powinien pan tego robić. Lepiej ją skończyć jaknajprędzej. A później dopiero zabierze się pan do rewizji.

CLEMENCEAU. — Nie mogę. Noszę to w mózgu... Słuchaj pan.

Clemenceau odczytuje mi wstęp. Jest to — z wyjątkiem kilku drobnych zmian, które w następstwie poczynił — identyczne z tekstem, wydrukowanym w książce.

Czyta źle, bardzo źle — bo nie umie. Ale czyta z głębokiem wzruszeniem, które i mnie się udziela: „Foch! Mój poczciwy Fochu!" Ręka jego drży, trzymając kartę, a głos jakby zwilżony łzą.

Skończył...

J. MARTET. — Jakież to piękne, panie...

CLEMENCEAU. — Czy lepszy od poprzedniego?

J. MARTET. — Uważam, że to bardzo głębokie. To piękna lekcja — smutna i poważna — jaką mu pan wypowiada. Niechże pan już tego nie poprawia.

CLEMENCEAU, *z goryczą*. — Tak? Mógłbym znów popsuć?

J. MARTET. — Mógłby pan. Nie należy poprawiać rzeczy doskonałych.

CLEMENCEAU. — Zabrałem się do tej książki z żalem do Focha. Ale w międzyczasie znów odnalazłem tych wszystkich ludzi... Przypomniałem sobie wszystkie te chwile, które spędziliśmy razem — on i ja. To dość smutna historja, Martet. Byłbym odszedł tak szczęśliwy, gdyby mogło powstać pomiędzy nami choćby coś w rodzaju przyjaźni...

J. MARTET. — Nie zrozumiał pana; czuł trochę żalu za kilka ostrych uwag...

CLEMENCEAU, *zdziwiony*. — Ostre uwagi z mojej strony? A co, czy miałem się z nim ceregielować! Kiedy czułem, że wszystko ucieka mi do djabła!

Clemenceau wstaje. Przechodzi energicznie przedemną i udaje się do ogrodu. Pogoda jest pochmurna, chłodna.

CLEMENCEAU, *mrucząc do siebie*. — Foch! Foch! *(Podnosi rękę)* Mój Boże! Ludzie!..

PSYCHOLOGJA RUCHU

rys. H. CHMIELEWSKI

Starem i wytartem, przez częste używanie„ jest powiedzenie: „Człowiek — to pan stworzenia". Istota to bezwzględnie mądra i chytra, co usiłuje kierować swem życiem i czynami, według wymyślnych przepisów i praw. Istnieją jednak liczne przyczyny, które w swych skutkach kierują wolą człowieka, bez jego wiedzy i chęci. Jedną z nich jest reakcja na odczuty przez zmysły ruch. Ruch bowiem jest istotną treścią i składem jakościowym wszystkich zjawisk materjalnych i duchowych. Ruch to akcja, która wymaga dla utrzymania równowagi w prawach materji natychmiastowego odzewu — momentalnej reakcji.

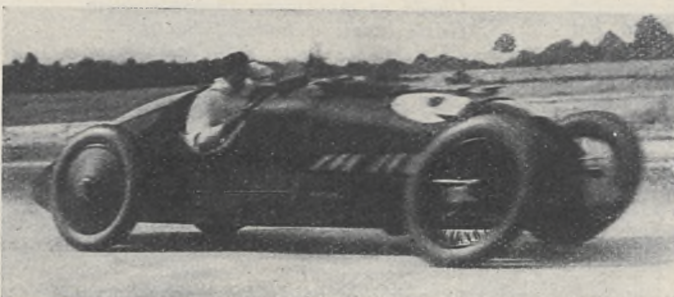
Najbardziej skomplikowana i wymagająca natężenia umysłowego praca, która oddala zajętego nią od otaczającego go świata, zostaje przerwana w chwili, gdy wtargnie w jej obręb zjawisko z zewnątrz. Zjawisko to, dające znać o sobie, optycznie, czy też fonetycznie, podchwycone bywa podświadomie przez zmysły, odciągając bezwiednie myśl w tym kierunku. Przelatywanie brzęczącej muchy, mignięcie się cienia na ścianie czy też pyłek, unoszący się nad stołem pracy, mimowoli zmusza do skierowania wzroku w tę stronę w celu zaobserwowania kierunku i przyczyny ruchu.

Zaobserwowanie jakiegoś ruchu stwarza częstokroć pobudkę do jego naśladowania. Stopień zaś tej podniety jest w stosunku wprost proporcjonalnym do jej przyczyny. Wystarczy przyjrzeć się z boku zachowaniu się publiczności, śledzącej wyścigi konne. Podnieceni widzowie ramionami i głową naśladują ruchy koni. Ta sama publiczność, przeniesiona na tor wyścigów samochodowych czy też motocyklowych, będzie robiła wrażenie jeszcze więcej rozgorączkowanej, bardziej ruchliwej. Nic dziwnego; motor jest szybszy od konia. Najjaskrawiej zjawisko to występuje w momencie, gdy maszyny biegną po wirażu. Ma się wrażenie, że cała trybuna uległa wirażowi, wyginając się w ślad za motorami.

Ileż to razy, pod czas meczu bokserskiego, spokojnie siedzący widz otrzymuje silne uderzenie z tyłu od swego sąsiada, który, podświadomie, obserwując szybkie i gorączkowe ciosy walczących, zaczyna naśladować rękoma ich ruchy.



Reklama, zjawisko codziennego życia, a ostatnio jeden z najważniejszych jego czynników, pierwsza zastosowała dla swoich potrzeb ruchomą akcję. Reklama powoli zaczęła zarzucać swe zwiotczałe metody działania na optykę, a stworzyła specjalny dział psychologiczny. Od czasu, kiedy tempo życia zaczęło nabierać coraz większego rozpędu, a co zatem idzie i zgęszczenie wielkich ośrodków ludzkich, reklama świetlna — nieruchoma, straciła swoją wartość. Zbyt dużo się jej namnożyło, by była przez kogokolwiek zauważona. Natomiast wprowadzenie do tejże samej reklamy pewnych ruchów automatycznych i powtarzających się z uporczywą ciągłością, daje pewną gwarancję powodzenia. Weźmy pierwszy lepszy przykład: w Warszawie, na ulicy Marszałkowskiej, istnieją dwa sklepy Singera. Jeden z nich ma konwencjonalną wystawę, nawet nieraz artystycznie udekorowaną, koło której rzadko kto się zatrzyma. W oknach wystawowvch drugiego sklepu wprowadzono ruchomą reklamę, bardzo sprytnie i kunsztownie pomyślaną. Przed tym sklepem zawsze można zastać tłum ludzi, nieraz po kilkanaście minut wpatrujących się w wystawione eksponaty.



Istnieją jednak pewne przedmioty, których wysoką wartość trudno zachwalać reklamą ruchomą. Przedmiotami temi są auta. Tutaj reklama ruchoma w salonie wystawowym byłaby śmieszną, no i do pewnego stopnia profanującą powagę, jaką dobre auto jest otoczone. W tym wypadku istnieją dwie drogi dla przeprowadzenia skutecznej reklamy: żywe słowo i martwa linja. Zestawienie tych dwóch biegunowo od siebie odległych pojęć, wydaje się napozór paradoksalnem. A jednak to nie jest paradoksem.

Jeżeli będziemi chcieli kupić jakieś auto, to zawsze usłyszymy, poza opisem technicznych walorów wozu, powiedzenie, że ono biegnie jak strzała. Jednocześnie, podświadomie, zaczynamy odczuwać lotność prezentowanego auta, którą faktycznie można poznać jadąc tylko nim. Słowo, chcąc uzmysłowić słuchaczowi szybkość i ruch, posługuje się w tym wypadku wyrażeniami, stwarzającemi obraz tego ruchu. Dlatego mówimy, że trawa wystrzeliła do góry, chcąc wytworzyć plastyczny niemal obraz szybkiego procesu jej wyrastania; o dobrych naszych chwilach, które zwykle trwają krótko, powiadamy, że przemknęły, jak mgnienie oka i t. p.

Silniej od słowa, przemawiają do nas martwe linje. Są one jednak tylko napozór martwe. W rzeczywistości każda z nich żyje, każda z nich zawiera jakiś ruch, względnie początek ruchu. One nam pojęcie tego ruchu narzucają tak, że my je sami ożywiamy. Linje nie są w swej istocie martwe, statyczne, lecz ruchome, dynamiczne. O ile porównamy dwie zamieszczone u dołu ryciny, to po bliższem przyjrzeniu się zauważymy, że jedna z nich wzbudzi w nas wrażenie zębatego, ostrego, skaczącego ruchu — podczas gdy druga obraz gładkiego, płynnego spokoju. Zbyteczne tutaj są wszelkie słowa. Nic też dziwnego, że dzisiejsza reklama szybkości auta oparła się przedewszystkiem na dynamicznej wymowie jego linij. Dlatego też auto, o kształtach wysmukłych, wydłużonych ku przodowi, zrobi na nas wrażenie lotnego, podczas kiedy karoserja, bardziej „kwadratowa" czegoś ślamazarnego.



Przypatrzywszy się uważnie godłom marek automobilowych, spostrzeżemy odrazu ich żywotność. Symbolika tych godeł przemawia odrazu do naszej podświadomej wyobraźni ruchu. Czy to będzie strzała, wskazująca kierunek biegu, czy głowa w hełmie, którego linje pióropusza biegną do tyłu, czy też para skrzydeł, zrywająca się do lotu — wszystko daje uczucie niepowstrzymanego pędu. Wszędzie linje, które swoją szybkością ciągną wóz naprzód.

Ruch to życie, to cel, do którego dąży psyche każdego człowieka. Wyraża się on we wszystkiem i jest najistotniejszym, odwiecznym imperatywem. Ruch to dążenie do czegoś lepszego i doskonalszego, do pokonania przestrzeni i czasu. Wzbicie się ponad przeciętność, wysunięcie się wprzód przed innymi, to pęd, tworzący nowe wartości.

A hasłem tego ruchu jest: Naprzód!

(g)



WIKTOR PRZECŁAWSKI.



VIII.

Ergo, mogą także nie obowiązywać wykonawców jego carsko-królewskiej woli. O ile jednak wola Aleksandra była zawsze chwiejna i niejasna i stwarzała sytuację poprostu niezrozumiałą, o tyle wola Mikołaja była i silna i wyraźna, i sytuacja stała się również najzupełniej jasną. Ze strony rosyjskiej rozpoczęło się otwarte prześladowanie polskości, ze strony polskiej ukryte przygotowywanie powstania.

W granicach Królestwa gnębiono oświatę, w granicach ziem, które miały być z Królestwem złączone, gnębiono wszystko, co było polskiem, gnębiono z dziką zajadłością i wschodniem zaiste barbarzyństwem. Wiemy przecież, że dzięki wspaniałej pracy ks. Adama Czartoryskiego i jego dzielnych pomocników, naukowy okręg wileński rozwinął się na podziw, a uniwersytet w Wilnie stał się ogniskiem polskiej nauki, myśli i postępów. Tu też zaczęło się prześladowanie. Dziecinny postępek 14-letniego Michała Platera, ucznia gimnazjalnego, który na szkolnej tablicy napisał „niech żyje konstytucja 3-go maja!" rozpoczyna erę tej prawdziwej męki polskiej w Wilnie. Przyjechał „sam" senator Nowosilcew i rozpoczął śledztwo. Śledztwo to wykryło istnienie kilku uniwersyteckich i gimnazjalnych grup młodzieży, zajmującej się raczej zagadnieniami natury kulturalnej i etyczno-narodowej, niż politycznej. Ale przecież był to spisek, to było to „coś", co rekacja rosyjska mogła niebywale rozdmuchać i za „bunt" okrzyczeć. Nowosilcew triumfował! Młodzi chłopcy oddani zostali pod sąd wojenny, którego wyroki wydają się nam dzisiaj jakimś ohydnym koszmarem. Sybir, katorga, śmierć! Skazani na śmierć ułaskawieni na... katorgę w Nerczyńsku.

W roku 1823 ks. A. Czartoryski otrzymał dymisję. W następnym rząd zwolnił najbardziej zasłużonych i uzdolnionych profesorów uniwersytetu, a prawa tegoż znacznie ograniczył. Tak zwany nadzór szkolny został zamieniony w idealną maszynę szykany i szpiegostwa. Cenzura dusiła wszelki objaw myśli. Reakcja opanowała całe szkolnictwo, a rychło później całą Litwę.

13.

Tak zwany „nastrój powstania" zaczął przenikać inteligentne warstwy narodu już niemal w pierwszym roku istnienia Kongresówki. Życie społeczeństwa, pozbawionego niemal zupełnie prawnych sposobów wyrażania żądań, poczęło stopniowo „schodzić do podziemi", w których, oczywiście, kurczyło się i dusiło, i z których musiało wreszcie z siłą „wybuchnąć".

Już około roku 1817 zaczęły powstawać tajne towarzystwa i związki patrjotyczne, których celem, wszystkich łączącym, było zupełne wyzwolenie ziem polskich i wskrzeszenie niezależnego Państwa Polskiego. „Naród", który wedle wielkich słów Wyspiańskiego, „miał prawo wolnego żywota", wysłał do tych „podziemi" najdzielniejszych synów swoich, a przedewszystkiem tych, którzy zbrojnie ojczyźnie służyli, a których despotyczny w. ks. Konstanty upokorzył, obraził i wypędził. Znaną jest rola W. Łukasińskiego, majora tak słynnego później 4-go pułku piechoty, który, korzystając z tego, że władze nie prześladowały masonerji, założył w kilku pułkach loże masońskie, których politycznym celem była również restauracja Państwa. Dopiero po osiągnięciu tego celu, miała masonerja polska rozszerzyć swoją działalność na całą Słowiańszczyznę, a później także na całą ludzkość. Piękną, starą masońską legendę o Hiramie, czyli o Adoniramie, głównym budowniczym świątyni Salomona, trzykrotnie ranionym przez trzech zdrajców towarzyszy, i przekazującym następcom swoim dzieło zemsty i odbudowy zrujnowanego gmachu, Łukasiński umiejętnie dostosował do losów Polski, trzykrotnie rozdartej przez trzech zaborców, lecz głęboko wierzącej w swoje zmartwychwstanie i płomiennie pragnącej zemsty. To szczególne i tajemnicze wtedy znaczenie idei masońskiej nie wszystkim, oczywiście, i nie bez prób było dostępne. „Dzieci Hirama", t. j. masoni polscy dowiadywali się o tem dopiero przy otrzymywania trzeciego stopnia majstra, i składali wtedy przysięgę, zobowiązującą ich do nieustannej walki z „zabójcami", t. j. z państwami zaborczemi.

Liczba tak pomyślanych lóż wzrastała w szybkiem tempie. Członkami ich nie byli wyłącznie wojskowi. Należeli do nich i niezależni finansowo obywatele, należeli urzędnicy i przedstawiciele różnych sfer społeczeństwa. Rotmistrz ułanów Majewski zorganizował wtedy na Wołyniu „sojusz templarjuszów", który miał także kilka stopni wtajemniczenia, i członkowie którego w trzecim stopniu znali już wszystkie polityczno-patrjotyczne cele. Prawie jednocześnie powstało w Warszawie, założone przez studjującą młodzież towarzystwo „swobodnych polaków", na terenie zaś zaboru pruskiego organizowano rewolucyjny związek „kosynierów".

Władze rosyjskie, aczkolwiek istoty sprawy zgoła nie odkryły, rozpoczęły jednak wkrótce prześladowanie lóż masońskich, co zmusiło Łukasińskiego do ogłoszenia likwidacji lóż i założenia już zupełnie tajnego „Towarzystwa Patrjotycznego". Zjednoczyło ono rozproszone wysiłki poszczególnych związków i „sojuszów" i postawiło sobie cel bliski i wyraźny: przygotowanie powstania, które powinno stać się powstaniem ogólno-narodowem. Już w dniu 1 maja 1821 r. było ono w zupełności zorganizowane, a tylko potem członkowie jego zawiązali stosunki z rosyjskiem „Towarzystwem Południowem. Prowadzono układy. Z rosyjskiej strony występowali Bestużew-Riumin i Sergiej Murawjew-Apostoł, z polskiej pułkownik Krzyżanowski, a później także ks. Antoni Jabłonowski. Grali znaczną także rolę ks. Wołkoński i Pestel. Sprawa szła o zwrot Polsce zupełnej niezależności i o nowe granice polsko-rosyjskie.

W staraniach tych i układach Łukasiński nie mógł już brać udziału. Zaaresztowany w r. 1822, został pozbawiony oficerskiego stopnia i skazany na siedmioletnie ciężkie więzienie. Więziony był w Zamościu, w Górze Kalwarji i w Warszawie. W. ks. Konstanty nie zapomniał o nim w dniu wybuchu powstania, kazał go „wziąć", posłał do Rosji, — i tam, w twierdzy Szliselburgu, w r. 1838 męczennik ten życie zakończył.

Śledztwo w sprawie dekabrystów doprowadziło także do wykrycia „Towarzystwa Patrjotycznego". Uwięzieni jego członkowie sądzeni byli przez Senat, który zarzut zdrady państwa odrzucił, za tworzenie zaś tajnych towarzystw i niedoniesienie władzom o spiskach zagranicznych (t. j. rosyjskich) skazał część oskarżonych na krótkie więzienie, innych zaś uniewinnił. Tylko pułkownik Krzyżanowski, za bezpośrednią łączność z dekabrystami, skazany został na trzy lata i trzy miesiące więzienia. „Serce moje" — powiedział przewodniczący sądu Piotr Bieliński — „nie pozwala mi potępiać uczuć narodowych".

Ten wyrok Senatu wywarł w całej Polsce ogromne wrażenie. Był on poniekąd moralno-prawną sankcją, daną oficjalnie wszelkim dążeniom, zmierzającym ku obaleniu istniejącego ustroju. Już Mochnacki bardzo wyraźnie podkreślił ten szczegół, mówiąc, że wyrok senatu był „prostą i uroczystą sankcją wszystkich przyszłych zamachów na istniejący pod opieką cudzej siły ustrój, wszystkich nowych przedsięwzięć, dążących do jego obalenia.

I tak rzeczywiście było. Wykazał to przedewszystkiem czwarty i ostatni sejm Królestwa Kongresowego, który zebrał się w maju 1830 r. Mowa tronowa, o której już wspominaliśmy, nie mówiła nic o obiecywanym przyłączeniu ziem litewskich, a budżetu również posłowie nie oglądali. Opozycja tedy podniosła głowę. Nie przestraszyło nikogo usunięcie czołowych posłów, i rząd wysłuchiwać musiał wszystkich zarzutów, a zarzuty te były słuszne. Mowa więc była i o lekceważeniu potrzeb kulturalnych kraju i o zamknięciu wielu szkół, o „pogromie" uniwersytetu, o prześladowaniu prasy, o niszczeniu swobód obywatelskich, nieprawnym poborze rekruta i o ściąganiu podatków, bez pozwolenia sejmu. Burza zbierała się w stolicy i stąd szła na cały kraj. W tej dusznej atmosferze, dojrzewały wyzwoleńcze plany, a przedewszystkiem dojrzewał i nabierał ostatecznej siły słynny spisek Piotra Wysockiego.

(D. c. n.)

MAURYCY DEKOBRA.

„Suche" Stany Zjednoczone

DWADZIEŚCIA CZTERY PIĘTRA

DWA TYSIĄCE KOBIET

Przechodziliśmy przed największym magazynem mód w New Yorku.

— Czy widzisz, jak wcześnie wchodzi do sklepu tak elegancka i rasowa dama — zauważył przyjaciel mój, Edwin. — Piękne panie jeszcze śpią, a ona już na nogach, choć to nie byle kto... Założę się, że nie zgadniesz, kto to taki?

— Powiedz lepiej odrazu — prosiłem, zaintrygowany.

— Jej Cesarska Mość, w. ks. Marja we własnej osobie...

Rzadko która emigrantka rosyjska może się pochwalić taką samodzielnością, jak ta kuzynka b. cara. Przybyła tu bez środków do życia i miast oglądać się na jakiś zasiłek, zabrała się do roboty. Została kierowniczką sekcji w tym magazynie, przed którym stoimy. Zarabia 25.000 fr. miesięcznie; jest szczęśliwa, iż tak mądrze zdołała samodzielnie stanąć na nogi, za nic sobie mając kaprysy fortuny.

Widocznie jednak atmosfera tutejsza przyczynia się do budzenia energji, bo spotkałem kiedyś przypadkowo inną księżniczkę krwi w wieku 51 lat, która, również będąc pozbawioną środków do życia, natychmiast, po przybyciu do New Yorku, zabrała się do pierwszej lepszej pracy zarobkowej i zaangażowała się do jednego z banków w charakterze telefonistki. Zarabiała początkowo 20 $ tygodniowo. Wkrótce jednak zauważono w wydziale personalnym, że skromna telefonistka (zapisała się, oczywista, pod przybranem nazwiskiem) jest inteligentną kobietą i że chociażby dzięki znajomości kilku języków zasługuje na lepsze stanowisko.



Wielka księżna Marja, kuzynka b. cara Mikołaja II, pracuje w jednym z magazynów, w New-Yorku.

Awansowała przeto na sekretarkę, a trzy lata później, została naczelniczką wydziału z pensją 120 $ na tydzień.

Atmosfera amerykańska... Być może... I wkrótce przekonałem się o tem osobiście na przykładzie dwóch moich rodaczek, które opowiedziały mi swoje przeżycia od chwili przybycia do New Yorku. Popełnię niedyskrecję, powtarzając tę historję, lecz wiem, że zainteresuje ona niejedną Francuzkę, marzącą o nowych horyzontach, daleko od poczciwej naszej Europy, w której wszystko przesiąknięte jest Tradycją i Rutyną.

Obie te przemiłe niewiasty, uprzykrzywszy sobie wegetację w kraju, gdzie zarobki są zbyt małe, a nadzieje ograniczone postanowiły pewnego pięknego poranku wszystko porzucić i emigrować. Rozporządzały wprawdzie paroma tysiącami franków i znały język, co zwłaszcza jest niezbędne, aby móc sobie dać radę za Oceanem.

Po dwóch miesiącach cierpliwych poszukiwań znalazły odpowiednie zajęcie. Jedna z nich, władając poza angielskim — niemieckim i hiszpańskim, została kierowniczką t. zw. *Ladies Department* w instytucji bankowej. Druga zaś została nauczycielką. Zarabia ją po 60 $ tygodniowo i są równie zadowolone z siebie, jak z nich zadowoleni są pracodawcy, do których się dostały.

Zarobki, o których wspomniałem, nie są może tak świetne, a życie w Ameryce kosztuje nie mało, lecz pracująca niewiasta jest tam o wiele szczęśliwsza, niżli w Europie, gdyż urządzić się może znakomicie i tanio — ba, niemal luksusowo.

A wszystko zawdzięczając tak zwanej *American Women Association.*

A. W. C. jest bowiem nadzwyczajną instytucją, założoną przez dzielne kobiety, przez działaczki społeczne, co, mimo jedwabnych pończoszek, nie tracą czasu na czczą gadaninę i ufundowały klub o bezsprzecznej wartości.



Home, sweet home... *(fot. Paramount).*

Siedziba klubu mieści się w dwudziestocztero-piętrowym drapaczu chmur, w którym zamieszkać może do 2.000 lokatorek. Odwiedziłem moje rodaczki, które się tam urządziły i osobiście miałem możność stwierdzić, jaki ład i komfort panują w tym wzorowym pomniku amerykańskiej *efficiency.*

Za dwadzieścia cztery dolary tygodniowo otrzymać można komfortowy pokój z łazienką. Obsługa kosztuje 0,25 $ miesięcznie. Śniadanie, obiad i kolacja — 1,50 $ dziennie. Lokatorki korzystają pozatem z następujących urządzeń: 1) bibljoteki, 2) biura sprzedaży biletów teatralnych, 3) galerji obrazów, 4) pięknej oranżerji i angielskiego ogrodu, 5) wielkiej sali w stylu chińskim i mniejszej w stylu indyjskim, przeznaczonych do bankietów i przyjęć, 6) sali bridżowej, w której udziela się również lekcyj gry w bridża, 7) apteki, 8) składu z bielizną, 9) bibljoteki, 10) sali koncertowej, 12) biura telegrafu, 13) kancelarji rejenta-doradcy prawnego, 14) sali ping-pongowej, 15) sali wypoczynkowej, 16) pływalni, 17) biura podróży, 18) sali gimnastycznej.

Wszystkie te udogodnienia oddane są do dyspozycji członków klubu bez żadnej dopłaty. W ten sposób koszt mieszkania i utrzymania w A. W. C. wynosi około 125 $ miesięcznie, czyli, innemi słowy, pozwala kobiecie, zarabiającej około 250 $, rezerwować sobie 50 proc. tej niewielkiej napozór sumy na ubranie, rozrywki i odłożenie oszczędności.

Kiedy po raz pierwszy zawitałem do klubu, nie znałem, oczywista, obowiązującego w nim regulaminu. *Lift-boy* zatrzymał mnie uprzejmie, prosząc o okazanie przepustki.

— Przepustki?

— Tak jest, sir. Proszę pofatygować się do biura.

Udałem się we wskazanym kierunku i zameldowałem się u dyżurującego urzędnika. Formalności polegały na wymienieniu mego nazwiska, nazwiska pań, do których się udawałem i zanotowaniu na przepustce godziny mego przybycia.

— Klub nasz — objaśniły mi moje znajome — nie jest ani klasztorem, ani nawet purytańską jakąś instytucją. Dowodem tego jest, że możemy dowolnie przyjmować panów u siebie w pokojach. Z wybiciem wszelako północy, panowie muszą opuszczać nasze *home*, a w razie, gdy któraś z nas powraca po północy z miasta w męskiem towarzystwie, musi się pożegnać na dole, w hallu.

Byłbym zapomniał jeszcze o jednym, nie mniej ciekawym szczególe. Oto, jak się przekonałem, członkowie A. W. C. posiadają własny organ prasowy, tygodnik p. t. *Awakener*, który zawiera masę lokalnych informacyj klubowych, jak również informacyj z afiljowanych instytucyj prowincjonalnych.

— — — — — — — — — —

A. W. C. jest instytucją, godną szczerego podziwu. Wszystko w niej mądrze przemyślano, kojarząc w sposób tak właściwy Amerykanom przyjemne z pożytecznem. Przykład budujący dla wszystkich krajów europejskich, gdzie nie pomyślano jeszcze niestety o roli samotnej niewiasty, zdobywającej ciężką pracą środki do życia i pozbawionej wszelkiego komfortu i radości.

Czyżby nie czas, żeby i nasze *social worker* w jedwabnych pończoszkach zajęły się losem swoich siostrzyc?

*

Uwagi, które Maurycy Dekobra podaje do wiadomości społeczeństwa francuskiego, mogą być równie dobrze odniesione do naszych stosunków. Położenie kobiety pracującej, wynajmującej pokoik przy rodzinie i jadającej „obiady domowe" — byle gdzie i byle jak, jest istotnie godne pożałowania.

Mumje egipskie a kosmetyka

Zdawałoby się, że pomiędzy mumją egipską, a dzisiejszą kosmetyką niema nic wspólnego... A jednak tak nie jest. Do różnych maści i kremów, stosowanych przez dzisiejszą kosmetykę, prowadzi od mumij nie „złota, czy czerwona nić dziejów", jak często wyrażać się lubią ludzie pióra, lecz wielka droga — czarna i... niezbyt mile pachnąca. Droga asfaltowa! — Prawda, jak to pięknie brzmi?... „asfaltowy szlak dziejów".

Asfalt, czyli smoła ziemna, jest substancją, znaną jeszcze w odległej starożytności. Znajdowano go obficie w Persji, Mezopotamji oraz w Morzu Martwem. Dzisiaj eksploatuje się ogromne złoża asfaltowe na Trynidadzie i w Kalifornji. Starożytny Wschód używał go jako środka leczniczego przeciwko puchlinom, zapaleniom i ropieniu. Lekarstwem tem posługiwali się później Grecy, Rzymianie i Żydzi, o czem świadczą pisma Pliňjusza, Galenus'a i Celsus'a. „Asphaltos" używano wówczas przeważnie w formie proszku.

Arabowie, pod wpływem dzieł starożytnych uczonych, zaczęli również stosować asfalt w swem lecznictwie. Nazywali go „mûmjah" (dosłownie: żydowska smoła, albowiem wyraz „mûm" znaczy po persku smoła-wosk). Ów mûmjah znajdowano podówczas w niewielkich tylko ilościach w Persji (prawo używalności mieli tylko królowie). Po zdobyciu przez Arabów Egiptu spostrzeżono, że ciała dawnych Egipcjan zawierają w sobie dużo asfaltu, którym je swego czasu zabalsamowano. Tego asfaltu z mumij zaczęto również używać jako środka leczniczego i wkrótce wyraz mûmjah stał się synonimem zabalsamowanych ciał, dawnych mieszkańców Egiptu, która to nazwa zachowała się aż po dzień dzisiejszy. Odtąd, jak twierdzi uczony niemiecki A. Wiedeman (w dziele swem p. t. „Mumja jako lekarstwo") zaczyna się rozpowszechniać wiara, że jedynie asfalt wydobyty z mumji ma wartość leczniczą. Popyt na mumje wzmaga się, lecz zarówno Żydzi jak i Arabowie utrudniają handel mumjami, twierdząc, że mogą się wśród nich znajdować zabalsamowane zwłoki ich współwyznawców. Pomysłowi przemysłowcy zaczynają wówczas fabrykować pocichutku na własną rękę mumje z ciał „niewiernych", wypełniając klatkę brzuszną i jamę piersiową asfaltem, pomięszanym z żywicą, a następnie susząc je przez parę miesięcy w piasku pustyni. Ceny mumij szły przy tem wciąż wgórę, ponieważ skrupuły moralne celników trzeba było koić dużemi łapówkami, a marynarze, jak wiadomo, nie znosili i nie znoszą na okrętach trupów. Wówczas to zaczynają się pojawiać w Europie podrabiane mumje (preparowano je ze zwłok ludzi zmarłych w szpitalach dla ubogich).

Słynny lekarz z Bazylei, Teofrastus Bombastus von Hohenheim, zwany powszechnie Paracelsusem, powiada, że do sporządzania mumij, o naprawdę leczniczych właściwościach, nadają się jedynie ciała ludzi, którzy zginęli pomiędzy niebem a ziemią, a więc wbitych na pal, powieszonych lub umęczonych na kole. Szczególnie te ostatnie, tak zwana „mumia patibuli", cieszyły się wielkiem powodzeniem. Zabobony te, jak twierdzi uczony niemiecki Peters przetrwały bardzo długo, albowiem jeszcze trzydzieści lat temu znajdowano w aptekach niemieckich, założonych w latach 1826—30 słoje z napisami: „mumia vera aegiptica" (były to brunatno-czarne kawałki asfaltu, pomieszanego z jakiemiś szmatami.

Medycyna i farmakologja średniowieczna wierzyła w to, że odpowiednio przyrządzony mózg młodego człowieka leczy apopleksję, podagrę i różne cierpienia kobiece. Mech z głów wisielców, latami dyndających na wietrze, miał tamować krew i usuwać anemję. Noszenie paska ze skóry ludzkiej oraz używanie eliksiru z włosów czarownicy, wzmagały porost włosów. Masłem z mleka kobiecego leczono oczy, tarte paznokcie z trupich nóg służyły jako środek na wymioty... nawet krew, mocz i kał miały swe zastosowanie.

I dziś jeszcze, studjując współczesne lecznictwo ludowe, widzimy, że większość tych apetycznych środków zachowała się. Znachorzy w różnych krajach Europy leczą niemi często, opierając się na znanej zasadzie „similia similibus".

Wiara zaś w lecznicze właściwości mumij dotarła poprzez różne bezdroża i do prawdziwej medycyny oraz dzisiejszej kosmetyki. Z substancyj, zbliżonych do asfaltu (np. bituminicznego węgla brunatnego) wytwarza się przecież znany środek, zwany ichtyolem. Podstawowym zaś i nieulegającym jełczeniu materjałem do wyrobu maści i kremów, używanych przez dzisiejsze elegantki, są smoliste pozostałości o wstrętnym zapachu, otrzymywane podczas dobywania nafty, z surowego oleju skalnego. Przyrządza się z nich przez ogrzewania, działanie węgla z kości oraz skoncentrowanego kwasu siarkowego, parafinę miękką, do wosku („mûm") podobną masę.

A więc dzisiejszą naszą kosmetykę z mumjami (prócz malowideł oczywiście) łączy w czasie i przestrzeni dziejów gościniec z... asfaltu. **Dr. E. S.**

Wieś chińska

(Ze słów „Kitajca" spisał Z. Marynowski).

O, polska wsi! Ujrzałem ją po trzydziestu latach tułaczki wśród bezkresu Dalekiego Wschodu... Pola zżęte, i łąki, i boćka na bocieńcu, i pastuszka z krasulą, pasącą się spokojnie na przydrożnej burcie, i skrzętnego gospodarza z piastowskim wąsem sumiastym, patrzącego śmiało w oczy przybyszowi.

— Pan nie tutejszy, co? — zagadnął mnie.

— Trzydzieści lat już nie byłem...

— Trzydzieści lat. Ho, ho. Karwas czasu! A którędyż Pan Bóg prowadzał?

— W Chinach byłem.

— U Kitajców, znaczy?

— U Kitajców.

— A jakoż tam, w Chinach? Ziemie dobre, urodzajne? Kraj bogaty?

Otoż to. Chłop polski pyta przedewszystkiem zali tam ziemia urodzajna, zali kraj bogaty.

A chiński chłop, gdym kiedyś popasał w jego fanzie przewiewnej, zapytał mię nieśmiało, czy jest spokojna, — czy bezpieczna od grabieży.

Niema nic bardziej rozpaczliwego nad chińską wieś. Jest ona jak źdźbła trawy, które gną na wsze strony przeróżne wiatry — nieszczęścia.

Już sam jej widok zewnętrzny jest zastanawiający. Niema tam długiej drogi, topolami sadzonej, do której tulą się malownicze obejścia gospodarskie, uśmiechnięte barwami malw i ostów — jak u nas. Niema tam nic takiego. Jest to zbiorowisko lepianek glinianych i szop bez ścian, skupionych ciasno przy sobie, z oszczędnością miejsca. Nakrzyż biegną dwie drogi, brudne, gliniaste, rozmokłe. Wszędzie pełno niechlujstwa i błota, lub kurzu, — zależnie od pory roku.

Całe zbiorowisko tworzy kwadrat i otoczone jest szczelnym murem glinianym, szerszym u podstawy ,zwężającym się ku górze. Mur mierzy dwa metry wysokości, a wzdłuż zewnętrznej jego strony biegnie fosa, broniąc doń dostępu. Wjazd jest tylko z czterech stron, przez cztery bramy drewniane, zamykane na noc. Oto fortyfikacja zgoła średniowieczna.

Lecz nie jest to bynajmniej jakiś przeżytek wieków minionych, zachowany dla tradycji. O, nie!

Jakże często i dziś z za tego muru wyzierają wylęknione twarze tubylców, niespokojnem okiem badające przybysza. Nie wszyscy przybysze przychodzą tu w pokojowych i przyjaznych zamiarach.

Czasami przybywają też Chunchuzi — i nie rzadko. Wówczas oznacza to klęskę dla wsi ostateczną.

Zbrojni, zorganizowani bandyci przysyłają pod mury parlamentarjusza i żądają okupu. Biada, jeśli wieś odmówi. — Przed małą bandą uda się czasami obronić, lecz jeśli mała sprowadzi wielką? Co wtedy?

Wtedy wieś jest zdobyta, zagrody spalone, a mieszkańcy wycięci w pień. Chunchuz nie zna litości.

A prawowita władza? Czyż o wiele lepiej obchodzi się z biednym chłopkiem? Czego tamci nie zrabują, to pochłoną podatki, nieraz prawem Kaduka osiągane.

Lecz Chińczyk jest cichy i pokorny, zdany na los i zrezygnowany.

— „Ni czi"? — pyta jeden drugiego przy rannem spotkaniu, na „dzień dobry".

— „Czi, czi" lub „Cziłła" — odpowiada zagadnięty.

„Czy jadłeś dzisiaj?" — „Jadłem, jadłem". — Oto jest formuła powitania chińskiego chłopa i... formuła nie zawsze zgodna jest z prawdziwym stanem rzeczy.

Pokażcie mi inny naród na świecie, któryby się tak smutno rankiem pozdrawiał.



Tradycyjna ozdoba chińczyka, długi warkocz, który obecnie został zabroniony przez rząd nankiński.

Dla tej pokory i rezygnacji, często wgłąb niezmiernego mora chińskich wiosek, pociechę swej nauki niesie katolicyzm. Widziałem wiele wsi katolickich i takich, w których proboszczem bywał europejczyk, jak np. Polak, ks. Wieczorek i takich, gdzie już chiński kapłan mszę odprawiał.

Lecz i do pogańskiej wioski bezpiecznie można zajechać. Chińczyk z natury nie jest wrogo usposobiony. Jest ostrożny, usłużny, pokorny i zarazem badawczy, lecz gdy się przekona o uczciwości przybysza, staje się gościnny, a czasem i wymowny.

Gościnność to niewyszukana. Ot, czem chata bogata. A chatka to nie bogata bynajmniej.

Jakież bogactwo można znaleźć w wiejskiej fanzie? Jest ona obszerna, jak stodoła, zbudowana z ziemi i trzciny, wewnątrz wyklejona papierem kolorowym, a w oknach białym. Drzwi nie posiada wcale, a tylko otwór szeroki. Umeblowanie jej stanowi sprzęt uniwersalny, t. z. kan.

Jest to jakgdyby olbrzymia prycza, zbudowana z niewypalonej cegły, rozłożonej na drewnianych żebrach. Wewnątrz kanu przebiegają kanały, doprowadzające ciepłe powietrze z paleniska, znajdującego się nazewnątrz i opalanego słomą. — Oto jest łoże całej rodziny i wszystkich domowników.

Resztę umeblowania stanowi parę mat, parę skrzyń i niskich stoliczków do rozstawiania potraw. — Oto i wszystko.

Przybysza częstują herbatą zieloną, której — wyznam szczerze — nie jestem wcale zwolennikiem. My, europejczycy, w Szanghaju, choć może to i dziwne, pijamy tylko herbatę angielską.

Lecz na chińskiej wizycie pić trzeba zieloną. To zresztą nie herbata — to obrządek, to akt kurtuazji, na który trzeba odpowiedzieć kurtuazją.

Mieszkałem pewnego razu przez kilka dni we wsi chińskiej. Do tego postoju zmusił mnie nagły remont mego samochodu, który nie wytrzymał chińskich wybojów. Przyjrzałem się przez ten czas poczciwcom.

Podziwiałem ich cichą pracowitość i zapał, z jakim oddają się uprawie roli przy pomocy tak prymitywnch narzędzi, jak socha, drewniana brona i radło. Pracują wszyscy, od 10-letnich dzieci aż do starców.

Gdy nadchodzi lato, pola barwią się różnemi kolorami roślin, wśród których przeważa gaoljan i czumiza, czyli kukurydza, gryka i proso; gdzieniegdzie zaś ryż i tytoń, zajmujący olbrzymie łany, w bardziej południowych okolicach.

Jedną z ciekawych upraw stanowi trawa farbiarska, wydająca potworny odor zgniłego mięsa. Po zżęciu trawę tę kisi się w głębokich dołach, a potem sprzedaje jako farbę błękitną. Dzięki temu właśnie w strojach chińczyków przeważa kolor niebieski.

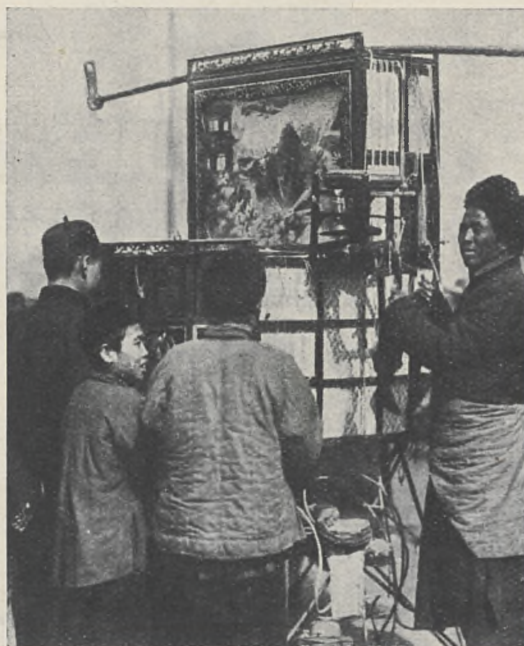
Jedynym dowodem jakichś resztek optymizmu, gnębionego życiem chińczyka, jest jego entuzjastyczne rozmiłowanie w kwiatach. Tytoń, ryż, gaoljan, — to rośliny, dające zysk. A zysk?... Zysk idzie często do cudzej kieszeni. Lecz kwiat? Kwiat zysku nie daje, kwiat istnieje tylko dla własnej rozkoszy, więc jest to bodaj jedyna pogodna, bezinteresowna osłoda szarego, codziennego życia.

Jedynym okresem ożywienia w tej monotonji bytowania jest święto. Święto bywa jedno tylko w ciągu roku — Nowy Rok, który przypada na jesieni. Lecz jest to święto wysoce uroczyste.

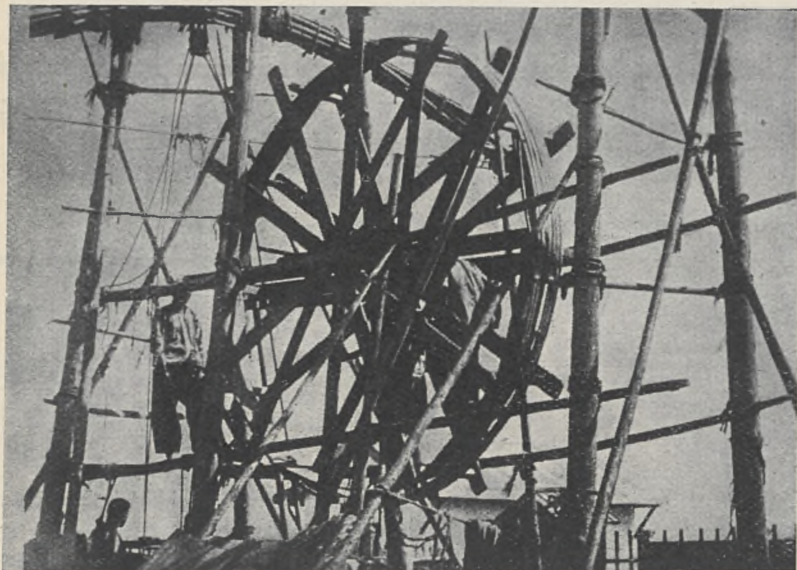
Tradycja wymaga, aby na ten dzień pozamykane były wszelkie rachunki, a nadewszystko popłacone długi. Zdarza się też, że, gdy ktoś nie potrafi się do tego dnia wywiązać z zobowiązań — kończy żywot samobójstwem. Czy jest to kwestja honoru, czy tylko ucieczka przed dalszem borykaniem się z nędzą istnienia? Nie wiadomo.

W nowy rok wszystko się weseli. Zjawia się nawet mocna wódka z gaoljanu lub kukurydzy — t. zw. czin lub chanża. Mimo to jednak pijanego

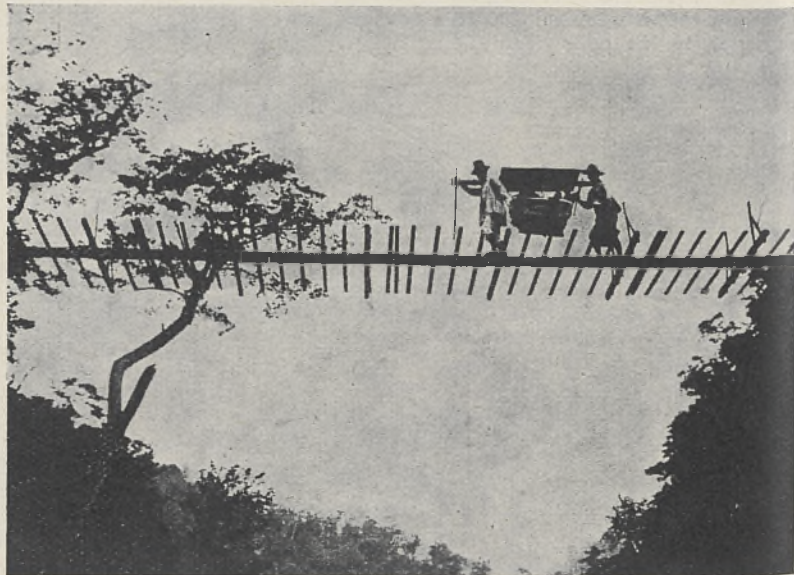
(Dalszy ciąg na str. 16-tej).



Typowy sklep chiński na ulicy miasteczka.



Dzięki przeludnieniu Chin, praca ludzka jest najtańsza. Oto olbrzymi kołowrót do czerpania wody, poruszany deptaniem kulisów.



Zamierzchła kultura Chin, na zabitej deskami prowincji w niczem się nie zmieniła. Nawet mosty nie zmieniły swego wyglądu od tysięcy lat.

Co słychać na świecie

Na godz. 12 w poł. w dn. 23 b. m. wyznaczone było posiedzenie Sejmu. Tegoż dnia, o godz. 11 r., p. marszałkowi Daszyńskiemu doręczony został dekret p. Prezydenta Rzplitej o odroczeniu sesji nadzwyczajnej Sejmu na dni 30. W wywiadzie, udzielonym prasie w tymże dniu, p. premjer Sławek wyjaśnił, że „obecna sytuacja polityczna na terenie sejmowym nie daje możności rzeczowej pracy rządu z Sejmem, nad zagadnieniami, które narzucają nam potrzeby państwowe, a przedewszystkiem walkę ze skutkami kryzysu gospodarczego".

*

W odpowiedzi na wywiad b. ministra Czechowicza, który wystąpił z klubu B. B., ogłosił p. minister Matuszewski pogląd swój na sytuację finansową państwa, zaprzeczając w nim twierdzeniom p. Czechowicza, jakoby kapitał zagraniczny miał unikać Polski oraz jakoby przerwanie dopływu kapitału zagranicznego nastąpić miało z początkiem r. 1929 z powodu natury wewnętrzno-politycznej.

Przerwanie dopływu kapitałów zagranicznych nastąpiło, jak twierdzi p. min. Matuszewski, już w połowie r. 1928, a istotną tego przyczyną była sytuacja finansowa na rynku amerykańskim. Niemniej jednak, stwierdza dalej p. min. Matuszewski, w grudniu r. ub. doszła do skutku tranzakcja kredytowa gotówkowa, największa po pożyczce stabilizacyjnej, na sfinansowanie dostawy wagonów kolejowych przez przemysł krajowy, a, wbrew opinji, jakoby kapitał zagraniczny miał unikać Polski, — kończy p. minister—Polska mogłaby zawrzeć niejedną efektowną tranzakcję pożyczkową, gdyby szukała efektu, nie istotnych korzyści.

*

W Ministerstwie Rolnictwa odbyła się w ub. tygodniu konferencja w sprawie finansowania produkcji rolnej, jej racjonalizacji oraz prawidłowej organizacji jej zbytu.

*

Dnia 24 b. m. p. Prezydent Rzplitej przyjął pierwszego ambasadora Stanów Zjednoczonych p. J. N. Wilysa, który wręczył p. Prezydentowi listy odwołujące jego poprzednika i akredytujące go przy osobie p. Prezydenta i rządzie Rzplitej.

*



Nowomianowany ambasador St. Zjednoczonych Willys w chwili przybycia do Warszawy.

Senat w. m. Gdańska w dn. 21 b. m. zgłosił do wysokiego komisarza Ligi Narodów wniosek, w którym domaga się decyzji, iż Polska wykorzystywać ma całkowicie port gdański oraz zaprzestać ma sztucznego popierania ruchu towarowego i osobowego w Gdyni.

Skarga ta senatu gdańskiego w sekretarjacie generalnym Ligi wywołała zdziwienie, jak się dyskretnie wyrażają depesze genewskie. Genewa komentuje podobno wystąpienie gdańskie jako nowe posunięcie rewizjonistycznej polityki niemieckiej na terenie międzynarodowym.

Nasze społeczeństwo przyjmie oczywisto to humorystyczne zażalenie dra Sahma obojętnem wzruszeniem ramion. Obroty portowe Gdańska, w porównaniu z r. 1913, dzięki łączności gospodarczej z Polską wzrosły wczwórnasób, a Gdańsk sam zyskać może jedynie na zacieśnieniu swych stosunków z Rzplitą. Co do meritum sprawy, to ani wysoki komisarz, ani nawet Liga Naordów nie może Polsce zabronić budowy, ani użytkowania portów na jej terytorjum, gdzie ona sama jedynie rządzi.

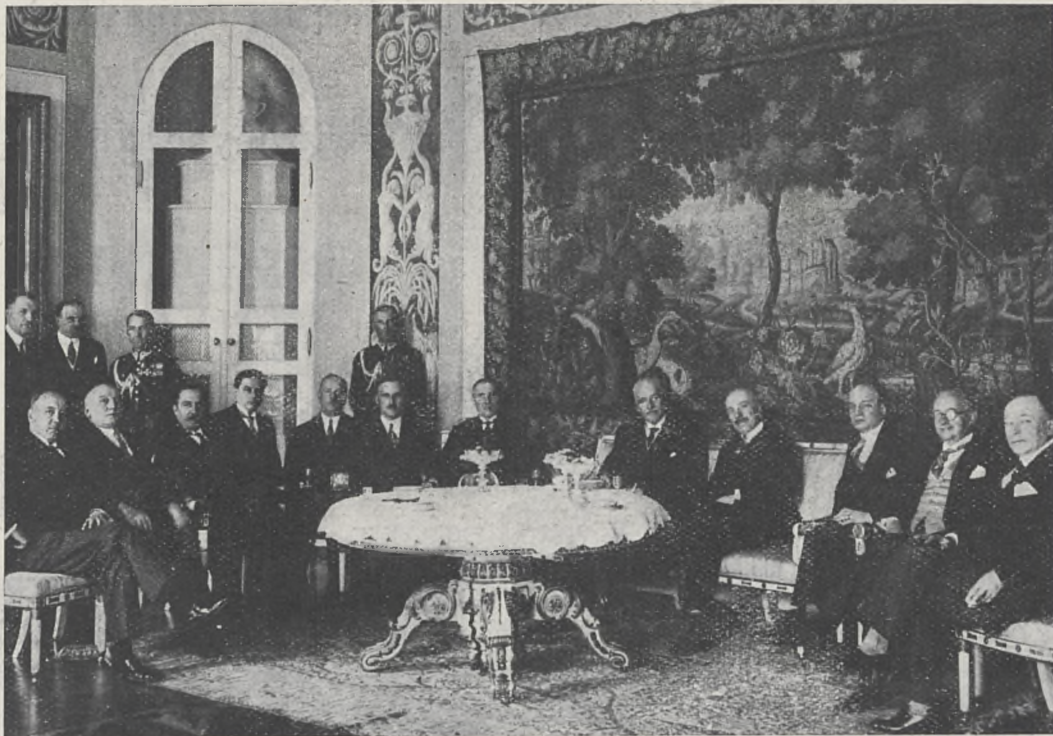
*

Jeden z dzienników królewieckich zamieścił wywiad p. Waldemarasa, gdzie b. premjer litewski twierdzi, jakoby nowa konstytucja Litwy została nieprawnie wprowadzona w życie w czasie, gdy on sam, jako premjer, był w Londynie. Pozatem treść autentycznej konstytucji różnić się ma znacznie — zdaniem p. Waldemarasa — od konstytucji obowiązującej.

W związku z wywiadem tym, rząd litewski oskarżył b. premjera o zdradę stanu, a zarząd główny partji tautininków postanowił skreślić p. Waldemarasa z listy partyjnej.

*

Na tle dyskusji nad budżetem Reichswehry, jaka się toczyła w parlamencie niemieckim, zwracają uwagę rewelacje tygodnika „Weltbühne" na temat zbrojeń niemieckich. Z cyfr, przytoczonych przez tygodnik berliński wynika, że wydatki na 100-tysięczne wojsko Rzeszy wynoszą w r. b. zgórą 515 miljonów mk., gdy w r. 1912 rząd pruski na pięciokrot nie liczniejsze wojsko wydatkował zaledwie o 130 milj. mk. więcej. Wzrosły natomiast w stosunku do przedwojennych wydatki na dowództwo, na zakup broni i na materjały do celów ćwiczebnych, zwłaszcza te ostatnie wtrójnasób.



Delegacja Rady m. Paryża z hr. d'Andigne na czele na przyjęciu u P. Prezydenta Rzeczypospolitej.



B. prokurator wojskowy, p. Tadeusz Jakubowski, został mianowany na stanowisko naczelnego dyrektora Dyrekcji Loterji Państwowej.

Repertuar teatrów

WIELKI
29 b. m. — „Konrad Wallenrod"
30 b. m. „Ijola"
31 b. m., o godz. 3 p. p. „Konrad Wallenrod"
o godz. 8 wiecz. „Poławiacze Pereł"
1 czerwca „Walkirja"

NARODOWY
codziennie „Wyprawa kapitana Scotta do bieguna południowego"

LETNI
codziennie „Maman do wzięcia"

POLSKI
codziennie „Słaba płeć"

MAŁY
codziennie „Papa"

QUI PRO QUO
codziennie rewja p. t. „Budżet wiosenny"

MORSKIE OKO
codziennie rewja p. t. „Uśmiech Warszawy"

WESOŁY WIECZÓR
rewja p. t. „Czy pani lubi bez?"

ROSYJSKI TEATR ARTYSTYCZNY
codziennie występy teatru dramatycznego z Rygi w gmachu teatru „Nowości".



Miss Ellenor Cook zaproszona została do wzięcia udziału w koncercie na kolonje letnie, urządzanym staraniem Amerykanów z Warszawy.

Nasze panie i... perkal!

Wbrew przewidywaniom pesymistów, hasło intensywnego popierania polskiej wytwórczości włókienniczej znalazło echo w sercach naszych pań. Stowarzyszenia kobiece na wyprzódki popierają „perkalowe sprawy". Zielony karnawał, bardzo w tym roku ożywiony, upływa pod znakiem symbolicznych perkalików (tem hurtowem mianem ochrzczono tej wiosny wszystkie krajowe tkaniny z bawełny i sztucznego jedwabiu).

Bardzo efektownym i przekonywującym momentem wiosennej propagandy perkalikowej był konkurs toalet na „Balu Wiosennym" Koła Polek. Wobec braku specjalnych żurnali był to nieomal poradnik praktyczny, jak należy wykorzystywać materjały krajowe. Uwzględniono najróżnorodniejsze rodzaje tkanin i wszystkie rodzaje letnich sukien. Pokazano sukienki kretonowe, tak bardzo popularne we Francji pod nazwą „robes paysannes", sukienki tennisowe, spacerowe, domowe i ogrodowe stroje.

Liczne słuchaczki p. Marji Ankiewiczowej były niewątpliwie ciekawe zobaczyć, jak wygląda w roli modelki dobrej sprawy. Były też zapewne rade, gdy się przekonały, że jest równie miła do widzenia, jak i do słyszenia i że ślicznie wyglądała w sukni z jedwabnej etaminy (nowość na rynku polskim), kreowanej w złociste i rdzawe róże. Była to suknia z sekretem, po zdjęciu bolera z sukni ogrodowej, robiła się — wieczorową. Pani Wabia-Wabińska z właściwym sobie wdziękiem prezentowała krynolinkę z markizety ręcznie degradowanej. Pani Franciszkowa Mościcka wyglądała uroczo i wiosennie w toalecie z markizety wzorzystej, a p. Rottermundowa w plisowanej sukni z bladoróżowej markizety i w cudnym kapeluszu z olbrzymiemi paradyzami miała sylwetkę iście paryską.

Jako ostatni numer programu p-kazano dwie suknie, ze stuprocentowego jedwabiu polskiego, z Milanówka.

Jury, w którem pod przewodnictwem p. Dewey zasiadali: przewodnicząca Koła p. Lubieńska, senator Humnicki, p. Marja Jewniewiczowa i Jan Rudnicki — miało wielki kłopot wyboru wśród tylu uroczych istot, owiniętych w szatki pomysłowe i prześliczne, niewątpliwie krajowe i nieraz nieprzewdopodobnie tanie (jedna z sukien kosztowała 6 zł. 40 gr.). Po długich debatach przyznano nagrody paniom: Zdzisławowej Kleszczyńskiej (krepon blado-lila haftowany w fiołki), dr-owej Elektorowiczowej (krepon blado-niebieski), artystce malarce Zofji Raczyńskiej-Arciszewskiej (markizeta ręcznie malowana), pani Rzewuskiej, p. Hance Dobrowolskiej, p. Gieysztorównie, p. Tereszczenko i p. Maciaskównie.

Większość pań na sali miała również tualety z materjałów krajowych. Między dającemi dobry przykład znalazła się również i redaktorka „Bluszczu" p. Stefanja Okołow-Podhorska. W ciemno - zielonej wzorzystej markizecie było jej bardzo do twarzy. Szczególnie wraziła mi się w pamięć toaleta p. Marji Krukowskiej, wykonana z krajowej, błękitnej żorżety, wąska w górze, rozwijająca się w dole w olbrzymi kielich fantastycznego kwiatu.

Moda perkalikowa, budząca zrazu tyle zastrzeżeń, zdaje się zwyciężać na całej linji i mam wrażenie, że wszystkie zabawy, aż do późnej jesieni, będą perkalikowe. Popołudnie „Mody", urządzane w ogrodzie Ministerjum Rolnictwa przez Zw. Pracy Ob. Kobiet niewątpliwie przyniesie nam jeszcze szereg ciekawych pomysłów toaletowych, w zakresie samowystarczalności. A kto mi nie wierzy na słowo, że wełna i sztuczny jedwab mogą pięknie wyglądać, tego niech przekona fotografja.

Well.



Po długich debatach nagrody przyznano p.p: Zdzisławowej Kleszczyńskiej, d-rowej Elektorowiczowej, Zofji Raczyńskiej-Arciszewskiej, Rzewuskiej, Dobrowolskiej, Gieysztorównie, Tereszczenko i Maciaskównie. Wśród grona pięknych pań — surowy augur mody, p. Well

S. DZIEWULSKI.

Garść świeżych wrażeń z Londynu



Plakaty uliczne (fot. M. Walentynowicz)

Mają to być rzeczywiście tylko wrażenia. Te pierwsze, bezpośrednie wrażenia, jakich doznaje się zaraz po przyjeździe. Wrażenia z całokształtu życia olbrzymiego miasta. Będzie tu mowa o sklepach i o regulacji ruchu, o gotyku i o krawatach. Londyn jest zbyt ogromny, za wiele się tam widzi i za wiele przeżywa, aby można było ująć to w dokładny opis i przeprowadzić selekcję rzeczy ważnych i błahych. Dla oszołomionego nawałem zjawisk turysty wszystko jest równie ważne. Z niezliczonych drobiazgów, wchłanianych bez przerwy, buduje on nawpół świadomie swe pojęcie o kulturze środowiska. Dlatego też relacja turysty polega na prostem opowiadaniu tych drobiazgów.

Mieszkamy w cichej dzielnicy o charakterze wyłącznie mieszkaniowym, wśród siatki spokojnych uliczek, podobnych zupełnie jedna do drugiej. Po obu stronach ulic ciągną się długiemi szeregami dwu i trzy piętrowe domki, oddzielone od chodnika wąskiemi ogródkami. Monotonję tej dzielnicy przerywa tylko biały gmach instytutu medycyny tropikalnej, którego elewację zdobią płaskorzeźby, przedstawiające rozmaite owady podzwrotnikowe, zapewne te, które swemi ukąszeniami dostarczają najwięcej materjału owej medycynie tropikalnej.

Wędrówkę po mieście zaczynamy od przecinającej naszą dzielnicę ruchliwej arterji Tottenham Court Road. Pędzą po niej sznury autobusów o nieprawdopodobnie wysokich numerach: 175a, 243c i t. d. Nagle doznajemy niesamowitego wrażenia: ruch kołowy lewą stroną... Dopiero podczas pierwszego przechodzenia przez londyńską jezdnię pojmujemy, jak bardzo jesteśmy przyzwyczajeni do mijania prawą stroną. Z początku nie można się z tą zmianą oswoić, ciągle oczekuje się jakiegoś zderzenia.

Po chwili wsiadamy do autobusu i zajmujemy miejsca na dachu. Autobusy suną zwartą falą, wymijając się o kilka centymetrów. Dojeżdżamy do Oxford Street. To już śródmieście. Sznur autobusów potężnieje, samochody prywatne i taksówki płyną obok drugim wielkim sznurem. Taksówki londyńskie, są to muzealne okazy samochodów z przed dwudziestu lat. Wysokie, niezgrabne, o naiwnych, staroświeckich linjach, robią wrażenie wprost humorystyczne. Są jednak świetnie utrzymane, silniki pracują równo i cicho.

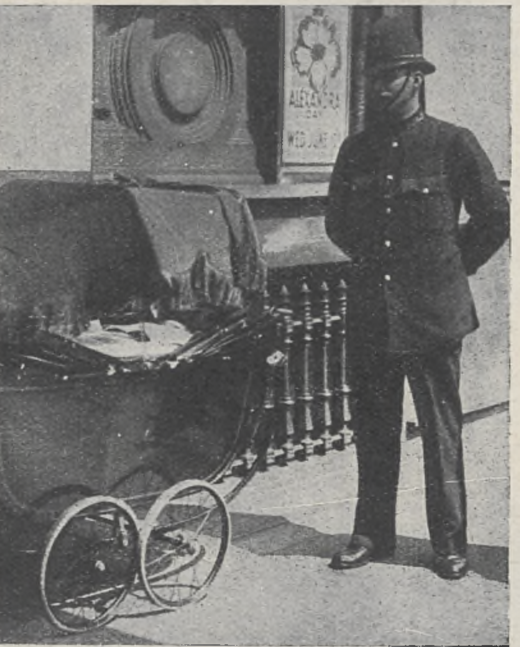


Oxford-Street (fot. W. Ponikiewska-Swiostkowa)

Rozglądamy się po ulicy. Domy bardzo brzydkie, o dziwnej, przypadkowej architekturze, pokryte olrzymiemi szyldami i reklamami. Ani śladu tego spokoju i standartowości, jaka cechuje kamienice Paryża. Londyńska ulica w porównaniu z paryską jest niespokojna i chaotyczna.

Przyglądamy się sklepom. Za czystemi powierzchniami wielkich szyb piętrzą się olbrzymie ilości towarów. Oxford Street, to ulica handlu na wielką skalę. Każdy wystawiony towar zaopatrzony jest w tabliczkę z ceną. Jest to zwyczaj przestrzegany nawet przez większość sklepów o charakterze luksusowym.

Wysiadamy z autobusu i mieszamy się z tłumem przechodniów. Pierwsze wrażenie, jakiego doznajemy, to wysoki poziom ubrania i jego specyficzny, zdecydowany charakter. Przeciętny londyński przechodzień nosi ubranie ciemno-niebieskie, lub szare, kolorową koszulę, melonik i gwoździk w klapie marynarki. Palta najchętniej nie nosi, gdy tylko temperatura mu na to pozwala. Nosi zato parasol. Krój ubrania tego przeciętnego przechodnia jest naprawdę dobry, krawat rzeczywiście dobrze zawiązany. Kobiety nie są tak umundurowane jak mężczyźni. Ciemne, miejskie palta przeplatają się z kostjumami o charakterze sportowym. Rozglądając się naokoło, idziemy razem z falą ludzi. Razem z nimi zatrzymujemy się przed wystawami sklepowemi i na rogach ulic. Chcemy zginąć w Londynie, poznać go od wewnątrz, uchwycić jego codzienność. Od razu rozwiewa się niezrozumiała, a tak rozpowszechniona fałszywa legenda o nieuprzejmości tłumu londyńskiego. Przeciwnie, okazuje się, że każdy zapytany odpowiada natychmiast grzecznie, dokładnie i z uśmiechem. Najbardziej imponującą cechą londyńczyków jest ich umiejętność sowobodnego poruszania się w tłoku. Nikt się nie przepycha, nie szarpie, wszyscy zgodnie posuwają się w określonym kierunku. Na skrzyżowaniu ulic, przy kasie teatralnej, czy na ruchomych schodach Underground'u widzi się ciągle spokojne, celowe ruchy i uśmiechnięte twarze. Pogodne zadowolenie jest nastrojem ulicy londyńskiej.



Londyński „bobby" opiekuje się niemowlęciem, wyręczając w tem matkę, która weszła do sklepu.



Westminster.

Pałac sprawiedliwości, t. zw. Law Courts, jest typowym okazem gotyku angielskiego.

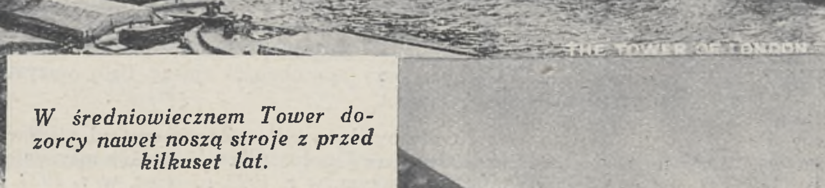
Regent Street. Ulica najwspanialszych sklepów i szalonego ruchu. Architektura poważniejsza, bardziej monumentalna. Sklepy tkwiące w tych wielkich, klasycznych kamienicach powstały, lub zostały przerobione w ostatnich kilku latach. To też partery Regent Street mają charakter, naogół biorąc, nawoczesny, podczas gdy wyższe piętra wyraźnie wskazują na połowę dziewiętnastego wieku. W tym kontraście tkwi specyficzny styl głównych ulic Londynu. Wystawy sklepowe przyciągają wzrok. W oprawie gładkich płyt marmurowych tkwią wielkie szyby. Z poza nich błyszczą najdoskonalsze wyroby. Lśniące flakony odbijają się w płytkach z czarnego szkła. Miękka wełna zwiesza się z gładkich drążków niklowych. Jasnożółta skóra przylega do białej kosci, do szkła, do metalu. Niezliczone przedmioty, idealnie przystosowane do celów, jakie mają spełniać. Najpiękniejsze materjały, powiązane precyzyjnie, mądrze.

Regent Street szerokim, monumentalnym zakrętem dochodzi do Piccadilly Circus, jednego z najruchliwszych punktów Londynu. Stada samochodów wypadają z pięciu krzyżujących się ulic, przenikają się, pędzą dalej. Regulacja ruchu jest tu dostosowana przedewszystkiem do potrzeb przechodnia. Gdy na rogu zbierze się kilkadziesiąt osób, wówczas policjant zatrzymuje spokojnym ruchem rzekę samochodów. Korzystając z tej okazji, ruszają samochody w kierunku prostopadłym i jadą do chwili, kiedy policjant znów zechce przepuścić inną grupę przechodniów.

Piccadilly Street. Wspaniałe sklepy z ubraniem, hotele, dancingi, teatry. Jest tam świetny sklep: „The Jungle", sprzedający wszystkie najbardziej wyszukane przybory do wypraw i polowań podzwrotnikowych: namioty, hełmy tropikalne, broń i rozmaite inne tajemnicze przedmioty, których znaczenia nie domyśla się nawet przeciętny europejczyk. „The Jungle", to jedna z tych rzeczy, które ciągle przypominają, że Londyn jest nietylko stolicą Anglji. Czuje się tu wyraźnie, że się jest w jednym z najważniejszych punktów kuli ziemskiej, gdzie rozstrzygają się wielkie międzynarodowe sprawy. Mówią o tem marmurowe elewacje olbrzymich banków kolonjalnych, wspaniałe lokale linij okrętowych i biur turystycznych, gdzie plakaty o tropikalnych barwach krzyczą przechodniom egzotyczne nazwy. Mija się Hindusów w białych turbanach, Murzynów, Malajów i innych i zagadkowych obywateli Imperjum.

Piccadilly styka się z Bond Street, ulicą najbardziej luksusowych sklepów. Najwyszukańsza konfekcja, najwspanialsze klejnoty, perfumy międzynarodowe rekordy przemysłów, leżą na wystawach skromnie, w małych ilościach. Sklepy Bond Street nie są tak wspaniałe, ani tak wielkie, jak sklepy Regent Street. Ale tu znajdują się towary najwyższej klasy. Regent Street — to doskonałość, Bond Street — to zbytek.

Te dwie ulice łączy niewielka Conduit Street, ulica sklepów samochodowych. Jeden z nich jest urządzony, jak stary angielski hall. Kominek, dębowa boazerja, stary świecznik. Na lśniącej posadzce stoją dwa Rolls Royce'y.



W średniowiecznem Tower dozorcy nawet noszą stroje z przed kilkuset lat.

Profesor uniwersytetu (fot. M. Walentynowicz)

Po skrzyżowaniu z Picadilly Regent Street idzie dalej w kierunku Trafalgar Square. Na tym odcinku znajduje się, między innemi, najpiękniejszy sklep sportowy Londynu: Lillywhite. Dział tennisowy prowadzi w tej firmie słynny weteran tennisa angielskiego, Gordon Lowe. W oknie, wśród nielicznych, ale naprawdę świetnych przyborów sportowych, zwracają uwagę pasiaste krawaty klubowe. Noszenie tych krawatów jest ogromnie rozpowszechnione. Każdy klub, każda szkoła, każdy pułk, mają swoje krawaty. W obrębie terenów sportowych członkowie klubów noszą również czapki, blejzery i szaliki w klubowych barwach. Widzi się to tak na każdym kroku, że po paru dniach pobytu zaczyna się już odróżniać krawaty bardziej rozpowszechnionych klubów.

Trafalgar Square. Wielki plac o dość niezdecydowanej formie architektonicznej. Na środku stoi wysoka kolumna Nelsona, strzeżona przez słynne lwy, o wiele lepsze od samej kolumny. Wśród gmachów dominuje klasyczna National Gallery.

Wielka potrójna brama łączy plac z szeroką aleją, zwaną „The Mall'. Lśniąca asfaltowa jezdnia przecina dwa rozległe parki i biegnie prosto do rezydencji królewskiej, pałacu Buckingham.

Obok The Mall wychodzi z Trafalgar Square ulica Whitehall, przy której stoją ogromne, klasyczne gmachy ministerstw i innych instytucyj rządowych. Whitehall jest poważna i majestatyczna. Pod bramami ciemnych gmachów stoją gwardziści królewscy konni i piesi, w czerwonych mundurach i futrzanych czapach. Wszyscy bardzo wysokiego wzrostu, dobrze zbudowani, przystojni.



Regent-Street (fot. W. Ponikiewska-Swiostkowa)

Whitehall prowadzi do placu, przy którym stoi gotycki gmach parlamentu, olbrzymi kompleks większych i mniejszych budynków, po których znać, że narastały całemi wiekami. Najstarsze części pochodzą z XIV wieku, ostatnie i największe skrzydło powstało przed stu laty. Parlament londyński jest jednym z najciekawszych przykładów tego fenomenu historycznego, jakim był rozwój gotyku w Anglji. Gdy w XIII i XIV wieku cała zachodnia Europa przeżywała Odrodzenie, w Anglji gotyk trwał w całej pełni. Trwał nadal w wieku XV i XVI, gdy na kontynencie Odrodzenie rozkwitło i zaczynało się już chylić do upadku. Przetrwał wreszcie wiek XVII, gdy Europa była już barokowa, mimo, że jednocześnie powstawały w Anglji liczne budynki renesansowe i barokowe. Tak więc w gmachu londyńskiego parlamentu można rozróżnić kilka odmiennych stylów gotyckich, z których każdy pochodzi z innego stulecia. Wynikiem tego jest niespodziewane i jedyne w swoim rodzaju zjawisko, że nawet fałszywy neogotyk z XIX wieku nie razi tu tak, jak gdzieindziej. Stanowi on jakgdyby ostatnią historyczną fazę angielskiego gotyku, robi wrażenie nie naśladownictwa, ale kontynuacji.

W sąsiedztwie olbrzymiego parlamentu stoi katedra Westminsterska, pochodząca z drugiej połowy XIX wieku, zrośnięta z tak zwanem Opactwem Westminsterskiem, które powstało w wieku XII-ym. Niewielka kaplica tego Opactwa jest jednym z najcenniejszych zabytków średniowiecznej Anglji. Przez witraże, tkwiące w jej ciemnoszarych murach pada światło przyćmione, niezdecydowanej barwy. Po obu stronach stoją bogato rzeźbione stalle z bardzo ciemnego drzewa. Nad krzesłami znajdują się rzeźbione w drzewie i malowane herby dostojników, którzy mieli prawo tu zasiadać. Ponad niemi, na poziomych drzewcach wiszą przepiękne chorągwie herbowe o żywych i dziwnie harmonijnych barwach. Wspaniały kontrast z brunatnem tłem kaplicy tworzą te dwa biegnące wzdłuż ścian, równe szeregi kolorowych płatów. Wyczuwa się w nich to charakterystyczne angielskie zamiłowanie do barwnych znaków, godeł, strojów, związanych z pewnemi osobami, czy okolicznościami. W XII wieku rycerze zasiadali w kaplicy pod dumnemi chorągwiami swych rodów, barwy swe umieszczali na ubraniu, na uprzęży, na broni. Dziś ich prawnukowie noszą krawaty o barwach klubu sportowego, którego honor jest im drogi.



Żebracy uliczni (fot. M. Walentynowicz)

Zapada noc. W śródmieściu Londynu robi się jasno. Na Picadilly Circus zapalają się i gasną żarówki olbrzymich reklam, pokrywających całe domy. Na jednym z nich do dwupiętrowego kieliszka wlewa się świetlny płyn. Nieruchomo błyszczą rury neonowe. Samochody pędzą we wszystkich kierunkach. Tłumy ludzi idą chodnikami, przebiegają jezdnię. Szum motorów i gwar tworzą taki hałas, że, chcąc się porozumieć, trzeba mówić bardzo głośno.

Trzecia część publiczności jest w wieczorowych strojach. Starszy pan we fraku pomaga wsiąść do ruszającego autobusu pani, ubranej w niebieską suknię i okrycie z lamy. Dwaj młodzi ludzie w smokingach i pani ubrana na biało przemykają się między samochodami. Pięciu mężczyzn we frakach wysiada z samochodu przed wejściem do teatru. Wszystkie twarze ożywione, wesołe. Londyn się bawi.

(Dalszy ciąg na str. 15-tej)



„Szarże" żeńskiej policji londyńskiej wyglądają imponująco. Pani Pankhurst nie dożyła, niestety, tej radosnej chwili zwycięstwa feminizmu.



Henryk Liefeldt jako widz

HENRYK LIEFELDT

(kilka chwil rozmowy z polskim mistrzem samochodowym)



...a tu już, jako kierowca.

Businessmeni, którzy owej pamiętnej niedzieli, 18 maja, znaleźli się w Łodzi, nie mogli się zorjentować w mieście, a zwłaszcza na Piotrkowskiej, która wyglądała conajmniej jak wielkie bulwary w Paryżu. Ruch niebywały... Ciżba aut przed Grandem i przed automobilklubem, dziesiątki innych snują się w różnych kierunkach, a że wszyscy prawie kierowcy dla większej parady pootwierali tłumiki i hałasują, że tak powiem — na wyścigi, trudno, doprawdy, wyobrazić sobie, że jesteśmy nie gdzieindziej, jak w Łodzi.

Z nikim dogadać się nie można o interesach. Mowa w całem mieście o autach i o naszych asach, o asach i autach... Zakłady, prognostyki — mowa i o Ripperze, i o Szwarcsztajnie, i o Potockim, a przedewszystkiem — o Liefeldzie, którego ostatnie przewagi na terenie międzynarodowym w Czechosłowacji wywołały ogólny podziw i dumę w całym kraju.

Lecz oto i on sam. Przejeżdża ulicą na rasowym Austro-Daimlerze wyścigowym, spokojny i zrównoważony, jak zawsze.

— Jakby też można z nim porozmawiać — myślę zafrasowany, gdyż wiem, że tu raczej uda mi się to przedsięwzięcie, niżli w Warszawie, gdzie inż. Liefeld jest pochłonięty od rana do wieczora interesami. — Jakby to zrobić?

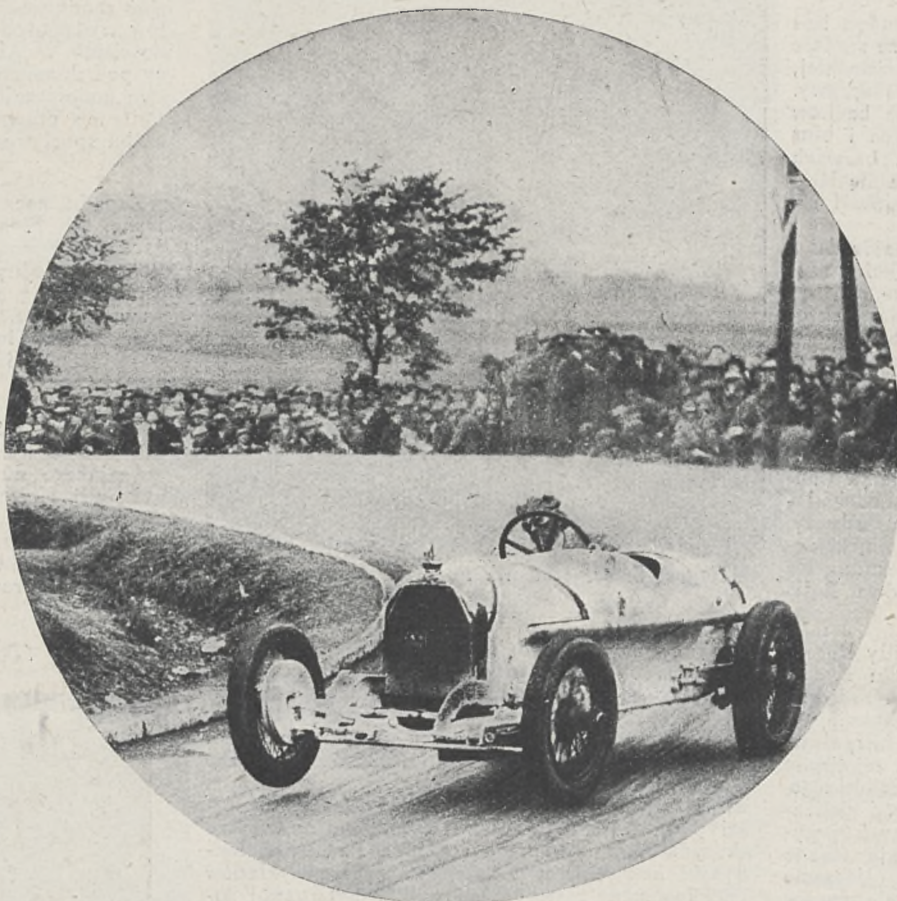
Przeciskam się więc ku automobilklubowi i czekam cierpliwie. Nie omyliłem się. Wkrótce nadjeżdża z hałasem inż. Liefeld.

— Tylko chwileczkę, inżynierze — proszę, zatrzymując go na progu. — Niech mi pan opowie wrażenia swoje z Czechosłowacji.

— Ha, cóż... — odpowiada. — Zjazd niezwykły, ze 160-ciu najlepszych zawodników z centralnej Europy... Maszyny przeróżnych marek... Trasa była niełatwa... Wiraże ostre... Wyciągnąłem przeciętną 125 i przybyłem drugi do mety, o niespełna 3 sekundy po znakomitym Stucku.

— Prowadził pan Austro-Daimlera?

— Jakżeby inaczej!... Jak zwykle... Cudowna maszyna!



Zawrotny wiraż na wyścigu w Czechosłowacji.

— Jeszcze chwilkę — błagam, widząc, że już ma zamiar pożegnać się ze mną. — Chciałbym przy sposobności spisać listę wszystkich pańskich zwycięstw...

— No, dobrze, ale byleby prędko. Zaczniemy od raidów. Odbyłem ich pięć, w czem raz jedyny na Opplu. Właśnie na tej maszynie byłem 4-tym w r. 1923, w r. 1924 — 1-szym, w r. 1925 również, w r. 1927 — 2-gim, w r. 1928 — 3-cim. A teraz dalej — w wyścigu pod Strugą w r. 1923 osiągnąłem najlepszy czas, w następnym roku zdobyłem rekord Polski (130 km.). W Poznaniu w r. 1926 miałem najlepszy czas, to samo w r. 1927 w Tatrzańskim, w latach następnych 1928 i 1929, miałem najlepszy czas. Dwukrotnie zwyciężyłem, jako pierwszy w Łodzi — w latach 1927 i 1928. We Lwowie zdobyłem kolejno w latach 1925, 1926, 1927 i 1928 pierwsze nagrody. Rekord szybkości — wciąż jeszcze stojący, dał mi bieg 1-kilometrowy w roku 1928; osiągnąłem wówczas 174 km. na godzinę. Dosyć?

I znów warkot motoru, pedał — i potężna maszyna Liefelda podrywa się z miejsca jednym susem...

— — — — — — — — — — —

Wyjeżdżam na szosę w stronę Pabjanic. Wzdłuż drogi i przed trybuną nie mniej gwarno, jak w mieście. Kilkanaście tysięcy osób wyległo na błonia. Od maszyn aż w głowie się kręci.

Piętnaście samochodów wyścigowych stoi w ordynku. Za niemi motocykle.

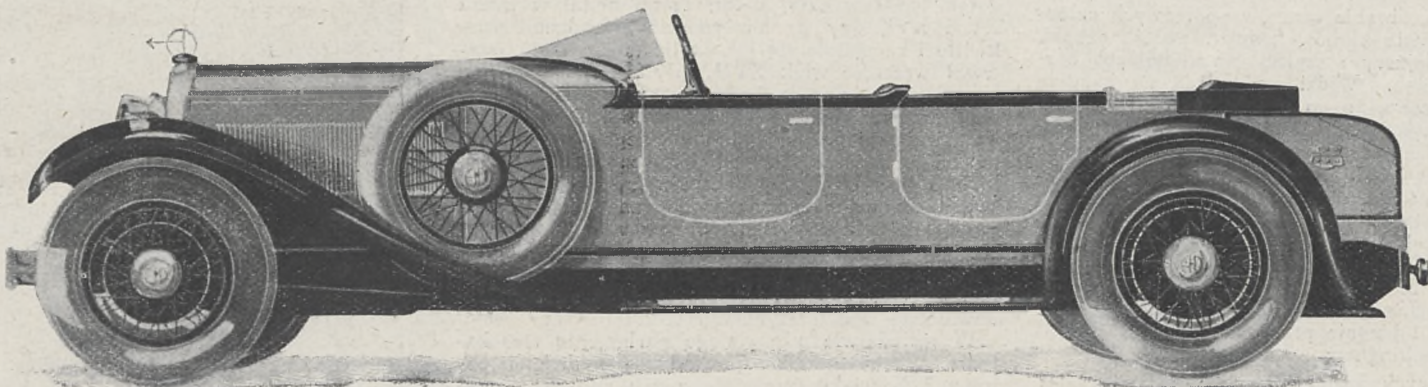
Za chwilę odbędzie się start.

Uwaga wszystkich skupiona na odcinku szosy. Z ust do ust podają sobie wiadomości.

— — — — — — — — — — —

A laury najobfitsze zebrały tego dnia Austro-Daimlery. Inż. Liefeld przedewszystkiem osiąga rekordową szybkość 164,098 km., Adam Potocki — 133,175 km., Widawski — 129,682 i dzielna sportsmenka, p. Koźmianowa — 114,635 km., bijąc tem samem rekord szybkości pań.

K. B.



Piękny Austro-Daimler, grand sport.

Garść świeżych wrażeń z Londynu

(Dalszy ciąg ze str. 13-tej)

W niedzielę rano na ulicach śródmieścia jest zupełnie pusto. Mieszkańcy wielkiego Londynu przenoszą się gdzieindziej. Aby nie stracić z nimi kontaktu, wsiadamy do Underground'u i jedziemy do Hampstead, podmiejskiej dzielnicy mieszkaniowej. Natychmiast po wyjściu na światło dzienne dostajemy się na szeroką aleję, biegnącą wśród ogrodów. Jesteśmy znów wśród tłumu. Otaczają nas tysiące ludzi, oddających się całkowicie niedzielnemu odpoczynkowi. Widać, że nic ich teraz nie obchodzą codzienne obowiązki, że chcą przez te kilka godzin próżnować, bawić się i oddychać świeżem powietrzem. Dążą jaknajdalej od miasta, chcąc się dostać między drzewa, na łąki, na tereny sportowe. Po asfaltowej jezdni suną niezliczone samochody i motocykle. Nikt tu nie jedzie załatwiać jakichkolwiek spraw, wszyscy jadą dla przyjemności, dla sportu. Ten sam wspólny cel łączy niezrównane Rolls Royce'y, Sunbeam'y i Armstrong'i, skromne Morrisy i małe motocykle, które tu są artykułem codziennej potrzeby. Charakterystyczne jest, że pasażerowie tych wszystkich maszyn są prawie jednakowo poubierani, w prostą, wygodną, sportową odzież. Przychodzą nam na myśl warszawscy wycieczkowicze, zwiedzający Bielany w ciemnych garniturkach i sztywnych kołnierzykach.

Dochodzimy do rozległego terenu, który jest czemś pośredniem między parkiem a łąką. Na przestrzeni dwóch kilometrów ciągną się łagodne, zielone wzgórza, wśród których mieszczą się rozmaite boiska sportowe. Tu odbywa się treningowy mecz piłki nożnej, tam na tle zielonych kortów ruszają się białe sylwetki tennisistów, jeszcze dalej, nad wodą, roi się od barwnych kotjumów kąpielowych. Obraz tej wielkiej i pogodnej polany pełen jest prawdziwie współczesnego piękna.

Wracamy autobusem przez dzielnicę mieszkaniową Hampstead. Jednorodzinne domki z czerwonej cegły stoją w zielonych ogródkach. Przy każdym prawie domku jest garaż. Ogrodzenie stanowią równo strzyżone żywopłoty. Między niemi, po wąskich, asfaltowych alejach przesuwają się samochody.

O godzinie 8-ej wieczorem idziemy do Hyde Parku. Przedstawia on zupełnie inny widok, niż rano, kiedy high-life londyński odbywa tu przejażdżki konno i samochodami. Teraz Hyde Park jest miejscem popularnej zabawy i spaceru. Niezliczone tłumy snują się po alejach i trawnikach, siadają i kładą się na trawie. Swoboda panuje zupełna. Poważni policjanci spacerują sobie trójkami i robią wrażenie, jakby czynili to wyłącznie dla przyjemności. W ruchliwszych punktach stoją na małych trybunach zagadkowe postacie kaznodziejów, którzy wygłaszają swe nauki. Dokoła każdego z nich zbierają się spore gromady ludzi. Niektórzy intonują psalmy, które słuchacze powtarzają chórem. Każdy z kaznodziejów umieszcza na swej trybunie tabliczkę z nazwą stowarzyszenia, do którego należy. W odległości kilkunastu metrów od siebie przemawiają przedstawiciele, lub przedstawicielki Armji Zbawienia, Towarzystwa Biblijnego, Ligi Katolickiej, lub jakiejś zupełnie tajemniczej sekty. Głosy kaznodziejów brzmią monotonnie i uparcie. Na te dziwne zgromadzenia rzucają zdaleka swe światła ruchome reklamy przyległych ulic.

WIEŚ CHIŃSKA

(Dalszy ciąg ze str. 8-ej).

chińczyka rzadko się spotyka, natomiast smętny zazwyczaj ludek odmienia nagle swą postać i bawi się. Ulicami miast i wiosek ciągną maskarady, w niebo wystrzelają barwne rakiety, a najwspanialszą dekoracją tych uroczystości są ogromne „żywe" smoki.

Smoki są jakgdyby naprawdę żywe. Tworzy je długi szereg, liczący nieraz kilkadziesiąt dzieci, pokrytych malowaną oponą. Na początku opony znajduje się potworna głowa smocza, która spoczywa na barkach dwuch ukrytych pod nią prowodyrów. Taki smok, niesiony przez sto nóg chłopięcych, wijący się i skręcający, czyni naprawdę wrażenie żywego potwora i wywołuje zachwyt widzów.

Lecz gdy się to święto skończy, wszystko powraca do dawnego trybu. Jedynie młodsi chłopcy wiejscy doznają pewnych urozmaiceń, gdyż po zakończeniu jesiennych prac rolnych emigrują do miast. Wieśby ich nie wyżywiła, gdyż rodziny są liczne, dzietne.

Na roli zostaje tylko jeden syn, reszta zamienia nędzę wiejską na miejską, która dla zwykłego kulisa nie jest ani odrobinę lżejsza. Przyświeca mu w niej jedynie mglista nadzieja odmiany losu, jakiegoś dorobku niespodziewanego, czego na wsi nie może się spodziewać.

Gdy chłopak dorośnie, osiada już w mieście na stałe, nie powraca już na letnie roboty. Chyba, chyba, że się chce ożenić.

Wesele — to druga jaśniejsza chwila w życiu wsi. Odbywa się hucznie w dwuch domach równocześnie. U pana młodego i u panny młodej.

Gromadzą się sąsiedzi i krewni, miejscowy Bonza odprawia modły, hałaśliwa kapela przygrywa od rana do wieczora. Czin i chanża zjawiają się na stolikach.

A gdy nadejdzie noc, z mieszkania panny młodej wyprowadzają zakwefioną, strojną w jedwabie oblubienicę. Sadzają ją do szczelnej lektyki, za którą ustawiają się, niosący posąg—sztuki jedwabiu i skrzynie z bielizną.

Z kapelą na przedzie, pochód wyrusza do domu pana młodego, gdzie młoda idzie do babińca pod władzę surowej świekry, a goście weselą się dalej przy dźwiękach kapeli przez dzień lub dwa.

Potem znów wszystko się kończy.

Mąż, jeśli nie jest osiadły, wyrusza po weselu w świat, a żona — niewolnica wchodzi w skład jego rodziny. Twarde to życie pod wymagającemi rządami obcych ludzi, a nadewszystko zjadliwej teściowej.

Według praw zwyczajowych, mąż winien żonę odwiedzać raz na trzy lata, więc też co trzy lata zdarza się jaśniejsza chwila w życiu niewolnicy. Co trzy lata... A jeśli miną trzy lata i wyczekiwany małżonek się nie zjawił? Ha, widać zginął z ręki chunchuzów, lub może zaraza go pochłonęła? Pozostaje to nazawsze tajemnicą, a życie żony staje się wtedy monotonne i męczące... Ot, życie chinki.

Lecz czemże jest życie? Nikt go tutaj nie ceni, nikt się doń nie przywiązuje, czekając na śmierć wybawicielkę.

O, wsi polska, z małym kościołkiem, z bielonemi chatami, z boćkami na bocieńcu i z roześmianemi bachorami, baraszkującemi po miedzach — jakaś ty szczęśliwa i piękna...

Niniejszem zawiadamiamy szanownych czytelników, że lokal redakcji i administracji został przeniesiony na ul. Chmielną 35 m. 3, tel. 99-03 i 525-85.

Administracja urzęduje od 9 do 16.

Redaktor naczelny przyjmuje w środy i piątki od 10-ej do 12-ej z wyjątkiem niedziel i świąt.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA

1	2	3	4	5	6
7					
8					■
9		■	10		11
12		■	13		
14			■	15	

ZNACZENIE SŁÓW

Wyrazy pionowe.

1. Mały pokoik.
2. Dzierżawa.
3. Płyn z owoców.
4. Widziadło senne.
5. Trucizna.
6. Wspak zaimek wskazujący.
11. Uczesanie głowy.

Wyrazy poziome:

1. Pudło do czcionek.
7. Zapach.
8. Nazwisko wielkiego filozofa angielskiego (fonetycznie).
9. W (łac.).
10. Żałoba (wspak).
12. Skrót nazwy stronnictwa politycznego w Polsce.
13. Wspak zaimek osobowy.
14. Rzeka w Europie.
15. Byk.

NAGRODY

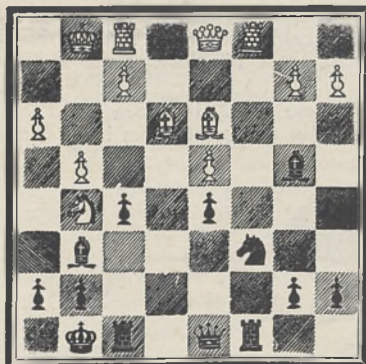
Za rozwiązanie zadań z niniejszego N-ru przeznaczamy 5 nagród w postaci książek beletrystycznych. Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 10 czerwca b. r.

ROZWIĄZANIA I NAGRODY

z N-rów poprzednich zostaną ogłoszone w następnym N-rze.

POZYCJA Z PARTJI

Kremer (białe), Frydman (czarne), granej na turnieju o mistrzostwo Warszawy w maju r. b.



W powyższej pozycji czarne wykonały bardzo piękną kombinację.

1..... f5 — f4!

To posunięcie rozpoczyna manewr obliczony na daleką metę.

2. Sg5—e6 Hd8—d6!
3. Se6×f8 Wc8×f8
4. Gd3×g6 Hd6×g6!!

Teraz wyjaśniają się zamiary czarnych.

Hetman wejdzie na d3 i jeżeli białe wezmą gońcem gońca czarnego na b4, to hetman × h3 i czarne grożą matem.

5. Ge3—d2 Hg6—d3!!
6. Gd2—e1!!

Białe znajdują niezwykle pomysłową obronę!

6... Hd3×h3!
7. f2—f3 Wf8—e8!!

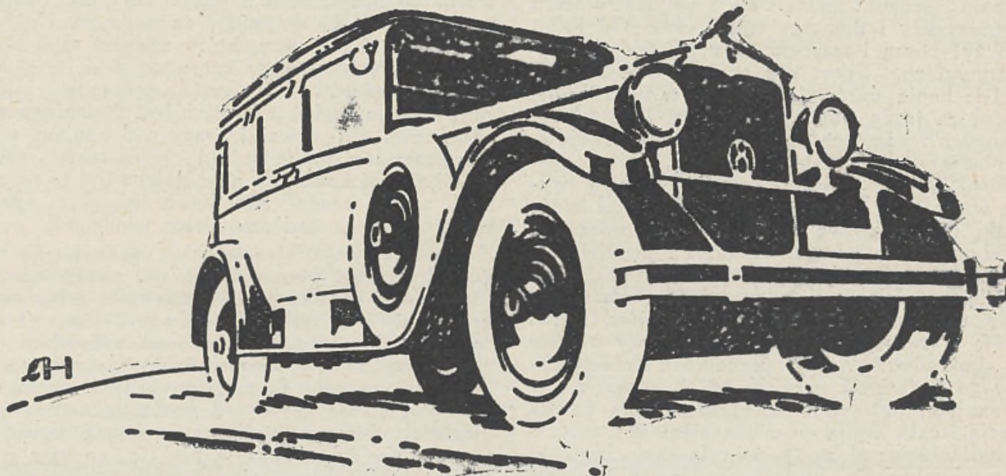
Teraz białe już nie mogą ratować się posunięciem Gd2×b4, gdyż nastąpi Hg3+, Kh1, We6, g5! Hh3+, Kg1, Wg6, Kf2, Hh2+ i We6+.

8. Wc1—c2?

Nadarzała się ostatnia sposobność uratowania partji — Hd1—b3! i t. d.

8.... Gb4×e1
9. Wf1×e1 Hh3—g3+
10. Kg1—f1 We8×e1+
11. Hd1×e1 Hg3×f3+
12. Wc2—f2 Hf3—h3+
13. Kf1—g1 f4—f3

i czarne zdobyły piona g4 oraz piona d4, zyskując w ten sposób decydującą przewagę materjalną.





RYSZARD ZADORA.

KONKURS POTĘGI

Romuald Zbrowski zbudził się z pogodą w sercu i poczuciem siły i dumy w całem ciele. Od kilku tygodni żył Niceą i marzeniami o swoich olimpijskich tryumfach. Sport dla sportu? Nie! Lubił wprawdzie konie, narówni ze służbą w szwadronie, przepadał za jazdą konną, jako taką, lubował się w porannych treningach sam na sam z wierzchowcem i otaczającą przyrodą, a jednak...

Jednak było to niczem wobec rozkoszy wytężenia wszystkich sił swoich i wszystkich sił konia do walki o zwycięstwo w konkursie hippicznym, wobec tłumów publiczności. Uznanie i podziw szły ku niemu bezgłośnie gdy piękny, wytworny, ukazywał się na dzielnym skarogniadym Parsifal'u w szrankach tych nowoczesnych turniejów. Burza oklasków i frenetyczne brawa pokrywały zawsze ostatni skok mistrzowskiego parcours'u. Kobiety obdarzały go kwiatami, spojrzeniami i... sobą. Koledzy i znajomi patrzyli z szacunkiem, cała polska kawalerja i cała armja — z uznaniem. Wszyscy w kraju byli wdzięczni za to, że tyle razy dźwignął na maszt konkursów międzynarodowych dumną, biało-czerwoną chorągiew, ponad chorągwiami tylu innych państw, państewek i mocarstw. Gazety całego świata ogłaszały urbi et orbi o zwycięstwie Polski, o pierwszeństwie barw jego przesławnego pułku i o jego tryumfie, Romualda Zbrowskiego, a on, porucznik 14 pułku ułanów Jazłowieckich, otrzymywał depesze gratulacyjne od Prezydenta Rzeczypospolitej.

A jednak... i to nie było kresem marzeń, nie było wszystkiem, czego pragnął.

Helena! I nawał nowych, niezliczonych marzeń i porywów załopotał w nim dokoła jej imienia i postaci. Nie znał jej dobrze. Widział ją zaledwie kilka razy w życiu, ale, z impulsywnością natur gwałtownych i namiętnych, przypisał jej odrazu wszystkie cnoty i ideały, o których kiedykolwiek marzył wśród zabaw i przelotnych miłości i miłostek. A może spotka ją dziś w Łazienkach na konkursie „potęgi skoku"? Zbrowski zawołał ordynansa i zaczął szybko się ubierać.

U wejścia na konkursy, sportman spotkał się oko w oko ze swoją byłą flamą, z którą się poróżnił przed miesiącem. Ujrzawszy go urocza panna Hania Warska stanęła jak wryta i oplotła go spojrzeniem pełnem słodyczy, czaru i oddania. Przywitali się i wymienili ze sobą kilka słów.

— Pan dziś startuje w konkursie potęgi skoku?

— Tak.

— Na Parsifalu, prawda?

— Tak. To przepiękne zwierzę, zdążyłam już do niego pójść i dać mu cukru. Żeby tylko Panu się powiodło. Ten konkurs taki trudny! A najmniej podoba mi się ten mur ceglany, stojący na początku. A gdyby Pana dziś szczęście zdradziło, to niech Pan przyjdzie do nas. Pan tak dawno nie był. — 3 tygodnie, o Boże!

Chciała jeszcze coś dodać, ale się przemogła i umilkła. Za każdym razem, gdy podnosiła nań z pod ciężkich rzęs swe łagodne i wilgotne oczy Zbrowski widział w nich stygmat daremnej tęsknoty i beznadziejną udrękę. „Tak mogła patrzeć Marja Magdalena! Szkoda, że nie potrafi patrzeć, jak Judyta" — pomyślał Zbrowski, obserwując w niej z zimną obojętnością jedną ze swych licznych wielbicielek. Myślał o tem, że w swoim czasie pochłaniała go, jednak, całkowicie, tak, jak pochłania go kolejno każda z przeszkód na torze, dopóki nie jest pokonana i dopóki się nie idzie „w cuglach" do następnej. Ta „następna" ukazała się właśnie w loży obok trybun, otoczona rojem panów cywilnych i wojskowych. Była to pani Helena Rudowicka, aktualny, lecz, jak dotychczas, niedostępny przedmiot jego zainteresowań i wysiłków. — Z tą mi pójdzie trudniej, niż z konkursem potęgi skoku — mruknął sportsman, — można skoczyć i skręcić kark, albo pofrunąć na dobre w krainę ułud i wcale nie wylądować.

Niemniej ruszył pewnym krokiem ku loży Rudowickich. Panie Romualdzie! Romualdzie! Romku! — rozległ się wślad za nim głos panny Hanki, ale Zbrowski już jej nie widział i nie słyszał.

Pani Helena Rudowicka siedziała w loży, w strojnej wiosennej toalecie i rozglądała się z roztargnieniem po barwnym tłumie spacerującej publiczności, z pośród której raz w raz ktoś się kłaniał, witał się przez balustradę, by wymienić kilka słów, lub przychodził z wizytą do loży. Niezajęte krzesło należało do męża, znanego na Kujawach sportsmana i hodowcy, który również miał dzisiaj startować, jako jedyny czerwony frak wśród powodzi mundurów. Dla męża, podobnie, jak dla Zbrowskiego, dzień ten miał być zmierzeniem sił, egzaminem długotrwałej pracy nad koniem, wreszcie generalną próbą sztuki jeździeckiej, energji, woli i zimnej krwi. Dla pani Heleny był to przegląd mód, wielka rewja znajomych twarzy i egzamin własnego czaru nad mnóstwem wielbicieli.

Nie traktowała, zresztą, tego egzaminu na serjo, gdyż była zbyt pewna siebie. Jej posągowa uroda i wyniosły sposób bycia, nadawały całej postaci oryginalny i jej tylko właściwy styl. Ten styl zwracał na siebie uwagę, imponował wszystkim i pociągał mężczyzn z niezawodną i niewytłómaczoną mocą. Zresztą nikt nie mógł powiedzieć na pierwszy rzut oka, co się kryje pod maską zewnętrznej wyniosłości: duma westalki, czy obłuda kulturalnej samicy. Każdy widział w niej to, co sam o niej myślał, lub co sam o niej wymarzył. Zbrowski myślał, jak romantyk, a wymarzył w niej tęskniącą do miłości westalkę.

— Ja przychodzę na konkurs potęgi skoku, Pani na konkurs potęgi czaru — rzekł całując jej rączkę.

— Nie grzeszy Pan subtelnością komplementu, panie poruczniku. Niechcę być żadną wogóle zawodniczką i nie chcę stać w żadnym wogóle szeregu, choćby to był nawet szereg asów, jakim pan jest bezprzecznie w swojej sportowej dziedzinie. Startować inaczej jak poza konkursem? Ubiegać się usilnie o coś? Pokazać, że mi na czemś lub na kimś szczególnie zależy? Fi donc! To nie dla mnie.

Zbrowski zagryzł wargi, gdyż słowa te upokarzały w nim jednocześnie i sportowca i zdobywcę kobiet. Nadomiar złego, loża Warskich znajdowała się tuż obok i było więcej niż prawdopodobne, że panna Hanka mogła słyszeć niektóre fragmenty ich rozmowy. Umilkł tedy, natomiast jeden z obecnych panów odpowiedział:

— Łatwo to Pani tak mówić, dopóki o nikogo z nas Pani nie chodzi. Niemniej, czar Pani działa bez Pani wiedzy i woli, lub może z wiedzą choć bez woli. Nie Pani idzie po tryumfy, tryumfy przychodzą do Pani, ale jakkolwiekbądź jest Pani wszędzie i zawsze tryumfatorką — w konkursie czy poza konkursem, to dla Pani ofiar wszystko jedno.

— O! Dla mnie nie wszystko jedno — zaoponował dość niezręcznie Zbrowski i chciał wyjaśnić o co jemu chodzi, ale pani Helena już to podchwyciła:

— A więc i Pan chce się zaliczyć do mych ofiar!

— Do ofiar nigdy, ale paziem chętnie zostanę z tem, że będę pasowany na rycerza i to dziś jeszcze.

— Pan ładnie mówi, panie poruczniku, ale zakres próśb jak widzę szybko wzrasta. Gdzież będzie koniec? A zresztą, na wszystko trzeba zasłużyć.

Zbrowski znowu poczuł się nieco urażony. Duma kazała mu zmienić temat.

— Czy Pani przeżywa konkursy, czy ślizga się po nich wzrokiem widza.

— Och, Panie, ja wogóle nic nie przeżywam, tylko przechodzę nad życiem jak nad krynicą i staram się tu i owdzie dojrzeć dno.

— To pani jest zimna.

— Nie, to krynica zimna. Zresztą wierzę, że na dnie jest złoty piasek. Staram się go dojrzeć. Niestety zwykle widać tylko mętną wodę. Choć czasem... — i tu piękna pani, chcąc złagodzić poprzednią oschłość, rzuciła nań jedno z tych zagadkowych spojrzeń, które wstrząsały nim do głębi duszy i zmysłów. Zbrowski poczuł pulsującą krew w skroniach, lecz starał się mimo wszystko zachować spokój.

— Tak? — wyrzekł niby od niechcenia, — a łatwo to tak przejść nad życiem i nie ugasić pragnienia silnych wrażeń?

— Ach, cóż znowu, ale co innego lekko zaczerpnąć dłonią z uroczego źródlanego zakątka, a co innego pójść z głową pod wodę...

...I popsuć sobie fryzurę—dodał z ironją Zbrowski. Ja tam wolę skakać w wodę prosto z mostu i głową na dół.

— Bagatela! To nietrudno gdy ktoś ma taką czuprynę jak Pan, ale o mnie sam Pan nieraz mówił, że mam ładne włosy.

— Ładne? — To mało, powiedziałem „cudowne jak i cała postać", ale cudowne to u mnie znaczy warte cudu ofiary i cudu oddania się.

Pani Helena roześmiała się. — Czy nie mówiłam, że apetyty u Pana szybko rosną? Zaczął Pan od tego, że stał się moją ofiarą, a teraz chce Pan zrobić ofiarę ze mnie. Ale Pan jest silny człowiek. Takiemu — zniżyła głos — pozwala się trochę więcej, a wybacza wszystko.

To „wszystko" było wymówione tonem niedwuznacznej obietnicy, stuszowanej zresztą powodzią niedbale rzucanych uwag:

— A oto startuje mój mąż. Dlaczego oni jako pierwszą przeszkodę stawiają mur z cegły? To chyba trudne na samym wstępie, taki martwy mur na metr sześćdziesiąt. Jak pan dziś przyjdzie do mnie, pomówimy o przeszkodach, które były w Nicei. Proszę, mój mąż 2 punkty karne, to wcale nieźle, w każdym razie dotychczas nikt lepiej nie przeszedł. A czy zna Pan tego oficera, który startuje teraz?

— Nie znam, ale zbliża się kolej na mnie, muszę iść. Nie powie mi Pani nic miłego?

— Jeszcze Panu mało? Dobrze, odpowiem jak rzymianka. Chwała zwycięzcom, biada zwyciężonym! Ale zwycięzca — tu zniżyła głos i nachyliła się ku niemu — niech prosi czego zechce.

Zbrowski wyszedł z loży Rudowickiej z uczuciem niesmaku i zawodu. Tęsknił wprawdzie do miłości wielkiej i wszechwładnej, ale przedmiot miłości musiał mu naprawdę imponować. W przeszłości miał już wiele rozczarowań na tem tle — czasem urojonych nawet — gdyż zapalał się równie łatwo jak się łatwo zrażał. Jedno słowo, jeden gest wystarczały nieraz aby runął cały podniebny pałac wyobraźni, bo mieszkanka pałacu musiała być dlań niebianką. W Rudowickiej odczuł dziś aż nadto dużo zgrzytów i sztuczności. A może to rzeczywiście hetera, pozująca na sfinksa i Aspazję? Wąż zwątpienia wkradał się już nie od dzisiaj w jego marzenia o Helenie. Teraz ten wąż zolbrzymiał i oplótł go całego tak, że ze świetlanych marzeń zda się nic już nie zostało. Lecz nie! Zostały jeszcze zmysły. Posiąść ją i jeszcze raz spojrzeć zbliska w nicość i małość stworzeń zwanych kobietami. Dziś, po konkursie! i Zbrowski podążył ku koniom, aby zająć się wreszcie zawodami.

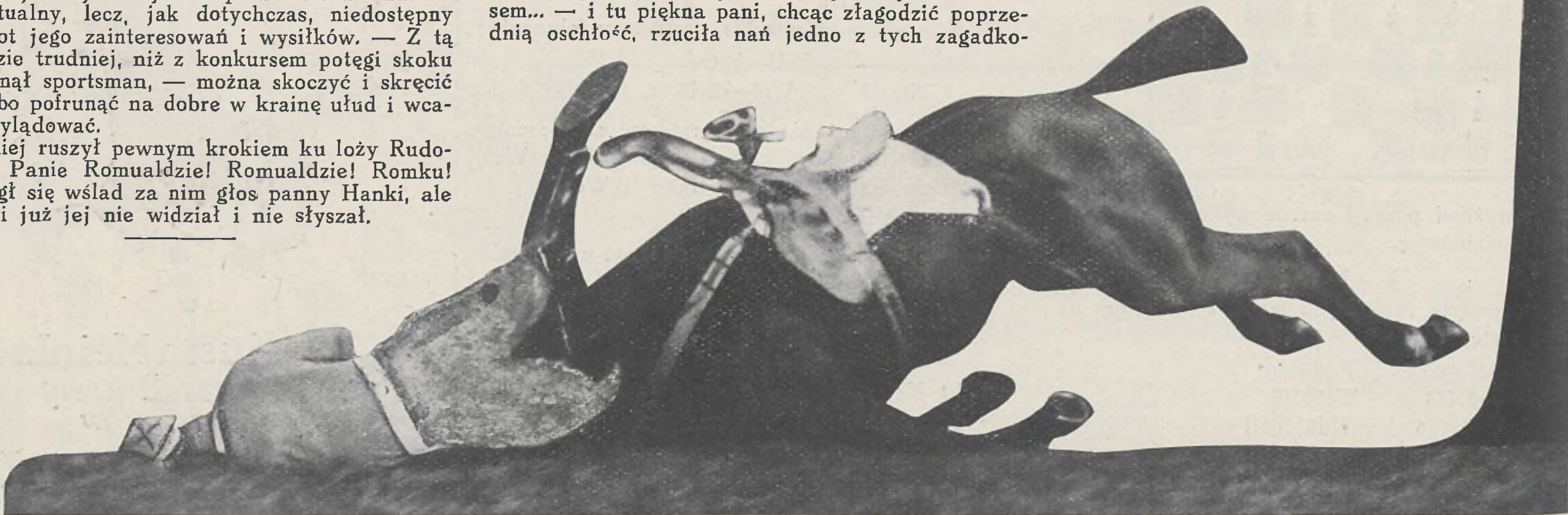
W przejściu zastąpiła mu drogę panna Hanka. Była wzruszona i zmieniona do najwyższego stopnia.

— Romku! Musisz przyjść dziś o ósmej do nas — rzekła przyciszonym głosem.

— Nie mogę.

— Ależ ja mam Ci coś bardzo, bardzo ważnego do powiedzenia, coś od czego zależy twoje szczęście i moje życie, a tu nie pora i nie miejsce.

— W istocie tu nie pora i nie miejsce, ale dziś wieczorem będę zajęty.



— Romku! Na Boga! Ja Ciebie jednego... zawsze... Jedyny! Jam Ci wszystko, wszystko gotowa poświęcić a Ty...

— Więc?

— Więc musisz mnie dziś wysłuchać, musisz!

— Nie rozumiem o co chodzi! Słyszą nas — dodał ciszej. — Niech Pani mi nie robi scen. Powtarzam, dziś wieczorem będę zajęty.

Ale panna Hanka nie myślała już o konwenansach i nie dbała o nic.

— Ha, więc to tak! Będziesz zajęty? Rzeczywiście będziesz zajęty, ale u niej! A wiesz ty kto jest ta pani? Ty jej z pewnością nie znasz i nikt Ci tego oprócz mnie nie powie, bo każdy się będzie bał, przypuszczając, że jesteś zakochany. Otóż wiedz, że ci wszyscy, słyszysz, wszyscy panowie, tworzący jej stałą switę są... są przez nią i dzięki niej skuzynowani. Wiedz, że twoi poprzednicy na tem polu są tak liczni, jak będą liczni twoi następcy. Pozory, o które ta pani niegdyś lepiej dbała już nie wystarczają. Nikt już nie bierze ich na serjo a tu i owdzie przestają już ją przyjmować. A pan Zbrowski, porucznik Zbrowski, as jeździectwa polskiego, potomek wojewodów i kasztelanów czołga się na oczach świata u nóg tej... tej...

— Ciszej, na Boga!

— Nie będę ciszej — rzuciła z rosnącą pasją i gwałtownością. — Ona śmie Panu rzucać naprzemian groźbę i nadzieję, a Pan czepia się płomyka nadziei aby zostać kim? Nie lwem, lecz ofiarą lwicy, nie zdobywcą, lecz żebrzącym o nagrodę „paziem", nie jedynym panem i władcą, lecz jednym z wielu niewolników kaprysu i wyrafinowania. Chwała zwycięzcom — i leci Pan po nagrodę. Biada zwyciężonym — i drży Pan o przegraną. Och! pogardzam Panem za to kupno łask i za te zabiegi o ochłap szczęścia — jeśli to dla Pana ma być naprawdę szczęściem. Bodaj by Pan nigdy tej nagrody nie wygrał. Żegnam!

Zbrowski stał nie tyle rażony ciężarem wyrzutów, do których w większości się nie poczuwał, ile olśniony urokiem wstrząsających przeżyć, które ożywiły pannę Hankę. Co za metamorfoza! Nie była to już zawsze słodka, zawsze uległa i zawsze nim zachwycona panienka, lecz kobieta, pałająca potęgą zagrożonej miłości i zawiedzionego szczęścia. Czy jest coś, na coby się terez nie odważyła ta płowa główka, ciskająca weń pioruny gniewu i oburzenia! Zbrowski poczuł, że jej miłość była naprawdę niepowszednia i porywająca, ale nie chciał tak nagle „wracać do Kanossy" i „bawić się w sentymenty", do których się nigdy nie przyznawał. Przecież to byłaby słabość! Zresztą czas naglił i chwila startu się zbliżała.

Obejrzał więc Parsifal'a, kazał podciągnąć oba popręgi, rozprężył konia w paru próbnych skokach i wreszcie oddał go ponownie luzakowi, czekając na wywołanie swojego numeru.

W międzyczasie wdał się w rozmowę z innymi sportsmanami, którzy co chwila otaczali go kołem i wypytywali o Niceę. Odpowiadał z roztargnieniem, zerkając raz po raz ku położonym obok siebie lożom, Warskich i Rudowickich. W pewnej chwili ze zdziwieniem zauważył, że panna Hanka wyszła z loży, podeszła do jego konia, poklepała go po szyi i pod popręgiem i szybko wróciła na swoje miejsce, gdy tylko skierował się do konia. Wydało mu się to wszystko nieco dziwnem. Nie było jednak czasu na refleksje, bo już trzeba było siadać i jechać. Zbrowski nie sprawdzając już siodłania, które sam przed chwilą dopasowywał, skoczył na konia i wyjechał w szranki konkursu potęgi skoku.

Na jego widok gwarny i ożywiony stadjon nagle ucichł. Ze wszystkich lóż, trybun i promenad oczy kilku tysięcy ludzi zwróciły się ku niemu i objęły z upodobaniem smukłą i szlachetną sylwetkę jeźdźca i konia. Wspaniały Parsifal sprężystym kłusem sunął ku loży sędziów, kipiąc temperamentem i hamowaną przez mistrza potęgą ruchów. Zda się, że koń i jeździec zlali się w jedno wspólną myślą, wspólną wolą i wspólnym systemem nerwowym. Uderzenia kopyt tętniły po murawie równo i miarowo jak dalekie odgłosy poruszanej przez wodospad turbiny. I tylko ustawiczne strzyżenie uszu, skośne rzuty zakrwawionych oczu i żucie wędzidła z pianą w pysku wskazywały na to, że był to koń równie dzielny jak gorący i trudny do prowadzenia. Wspaniała kaskada grzywy i ogona igrała z wiatrem i dopełniała malowniczości i brawury

Lecz oto loża jury, prezentacja. Zasalutował, zatoczył koło i pogalopował ku miejscu, gdzie stał starter. A po drodze rzucił okiem ku loży Hanki — i skamieniał. Nie bacząc na start i na ludzi panna Warska najwyraźniej daje mu jakieś znaki, a później krzyczy coraz głośniej: „Stój, stój! Popręgi! Bo się zabijesz!"

Zbrowski, nie przerywając galopu, sięgnął odruchowo do popręgów. Fatalne! Siodło zaczyna się lekko ruszać, bo jeden z dwu popręgów odpięty. Zrozumiał wszystko: To Hanka! Odpięła przez szał zazdrości, a teraz uprzedza go przez szał bojaźni o życie — o jego życie. Jaka śliczna! Jednak niebezpieczeństwo jest niewielkie. Hanka nie wie, że taki jeździec, jak on, z pewnym ryzykiem da sobie radę i na chwiejnem siodle. I Zbrowski, zamiast zjechać z placu, nagłym ruchem minął startera i w miarowych lansadach galopu pomknął na pierwszą przeszkodę.

Ale w tej że chwili stało się coś niezwykłego. Ostry kobiecy krzyk rozdarł powietrze i młoda, wytwornie ubrana dama przeskoczyła balustradę, odgradzającą plac konkursu od widowni, zanim ktokolwiek zdążył jej w tem przeszkodzić. W sekundę później Hanka — ona to bowiem była — pędziła ku niemu środkiem pustego placu, mijając oszołomionych sędziów przy przeszkodach i ogłupiałych ułanów, trzymających tarcze do karnych punktów.

Zbrowski ujrzał to wszystko, będąc tuż przed murem — i doznał formalnego coup de foudre. Na Boga! — Więc to naprawdę miłość, wszech mocna miłość — uprzytomnił sobie błyskawicznym odruchem szczęścia. Ukochana! Ale jak on ją teraz uchroni przed szyderstwem gawiedzi? Co za śmieszność sytuacji panny z towarzystwa, uganiającej się publicznie za pędzącym na przeszkody kawalerzystą!

Co robić? Już wie! Zgnieść groteskowy śmiech widowni powagą katastrofy.

Szybka, jak błyskawica, myśl decyzji — skok. W skoku Zbrowski rozmyślnie zdarł wodze i gwałtownie odchylił się wstecz, obciążając koniowi zad i krępując wyciągnięcie szyi. Parsifal stracił w powietrzu równowagę, ciężko zaczepił o szczyt muru i w tejże chwili runął głową na dół, rulując i przygniatając jeźdźca.

Trzask, łomot, kurzawa i krzyki nadbiegających zewsząd ludzi, przysłoniły na chwilę świadomość, leżącego bez ruchu oficera. Ostry ból złamanej nogi przywrócił go jednak do przytomności.

Ujrzawszy nad sobą obłędne ze strachu o niego oczy Hanki, Zbrowski szepnął:

— Wygrałaś konkurs potęgi uczuć.

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (20)

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

W Monte Carlo odbywa się kongres Wielkiego Traktatu Narodów, na którym zaproponowano zaprosić Amerykę do udziału w pracach. Agent Stanów Zjednoczonych, Grant Slattery, rozpoczyna na terenie amerykańskim walkę z wysłannikiem Niemiec, Korneljuszem Blunnem, który wespół z delegatem Japonji, hrabią Itashem, stara się urobić opinję amerykańską contra Kongresowi. Tancerka Cleo, dawna kochanka hrabiego Itasha, postanawia zemścić się za porzucenie jej i wyjawia częściowo Grantowi politykę Japonji i Niemiec. Cleo zostaje aresztowana pod zarzutem usiłowania morderstwa na Yvonnie, obecnej przyjaciółce Japończyka.

— Nie dziwię się wcale, znam już ich poglądy i nie jest to dla mnie bynajmniej niespodzianką. Gdybym przez dwadzieścia lat nie opuszczał Ameryki, jak senator Ross, rozumowałbym napewno w ten sam sposób. Jednakże twierdzę, pułkowniku, że pan i ja zdołamy ostrzec ich przed nadciągającą burzą.

— Muszę jednakże pana uprzedzić, Grant, że nakazali mi pewną rezerwę w poszukiwaniach i nie mogę naglić zbytnio z robotą.

— Rozumiem najzupełniej pana sytuację, Hudson. Skoro jednakże pan się przekona, że mam słuszność, jestem przekonany, że pójdzie pan ze mną ręka w rękę.

— A więc zabierzmy się do roboty. Niech mi pan dostarczy, Grant, pewnych dowodów podejrzeń i jakoś będziemy dalej snuli te nici.

Grant opowiedział obszernie o intrygach w Monte Carlo i o wydarzeniach na swoim yachcie. Mówił o zeznaniach politycznych księżnej von Dirs, wreszcie w ostatnich wydarzeniach, związanych z osobą Itasha i tancerki Cléo.

Pułkownik Hudson słuchał go ze wzrastającem zainteresowaniem. Zastanowiły go ostatnie wydarzenia i specjalnie pragnął się na nich zatrzymać.

— Czy ta dziewczyna ma jeszcze panu coś do powiedzenia? — zapytał.

— Jestem tego pewny — przekonywał go Grant. — Upewnia mnie w tem okoliczność, że najprawdopodobniej z rozkazu Blunna, który ma kolosalne stosunki w naszej policji, nie pozwalają wchodzić do niej nikomu. Odmówiono nawet widzenia się z nią mojemu adwokatowi. Czy istnieją tego rodzaju przepisy podczas śledztwa?

— Absolutnie nie — objaśniał Hudson.

— A więc zacznijmy od tego, przyjacielu. Niech pan uda się natychmiast do więzienia śledczego Tembs. Ma pan prawo żądać widzenia się z nią. Może jej pan powiedzieć, że przychodzi pan w mojem imieniu.

— Niech pan idzie ze mną, Slattery. Porozmawiamy z nią obaj.

W więzieniu śledczem udał się Hudson na poszukiwania jakiejś wpływowej osobistości i zostawił Granta w poczekalni. Wrócił dopiero po upływie pół godziny, mocno urażony i niezadowolony.

— Miał pan rację, że sprawa tej dziewczyny osnuta jest wyraźnym spiskiem. Jest to tem charakterystyczniejsze, że dzieje się tu wszystko wbrew regulaminowi, za co nie będą ci panowie tu odpowiadać. Za godzinę będą zmuszeni z rozkazu wyższej władzy udzielić nam widzenia z panną Cleo. Tymczasem może przejdziemy się trochę i pan dopowie mi resztę swych ciekawych historyj. Muszę przyznać, że te sprawy mocno mnie zainteresowały.

Grant opowiedział pułkownikowi wszystko, co robił w przeciągu ostatnich dwuch lat. Mówił o odkryciach w Archangielsku, o machinacjach japońsko-niemieckich i wreszcie skreślił swój plan prawdopodobnego ataku na Stany Zjednoczone, przez sprzymierzoną flotę niemiecko-japońską.

Pułkownik Hudson niełatwo naginał swą wybraźnię w kierunku proroctw Granta. Pokutował w nim, oprócz szefa departamentu tajnej służby wywiadowczej, jeszcze i wolny obywatel Stanów Zjednoczonych, przekonany o jej samowystarczalności i potędze.

Wrócili po upływie godziny do Tembs. Grant nie czekał na przyjaciela, który, tym razem, powrócił po dziesięciu minutach mocno podniecony.

— Slattery, w sprawie tej dziewczyny ma pan absolutną słuszność. Mają teraz bezczelność twierdzić, że uniewinnili ją absolutnie przed pół godziną, że opuściła więzienie i że stracili ją zupełnie z oczu. Nie lubię takich rzeczy, niech pan natychmiast idzie za mną.

— Dokąd? — pytał Grant.

— Odwiedzimy moich przyjaciół, którzy rozwiążą zagadkę zniknięcia dziewczyny. Spieszmy się. Nie wolno tracić nam ani chwili.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Hudson jadł tego wieczoru obiad u Granta i słuchał dalszych jego ciekawych opowieści, gdy nagle zadzwonił telefon. Jakiś męski głos prosił do telefonu pułkownika. Grant podał swemu gościowi słuchawkę.

— To coś bardzo nagłego do pana.

Hudson zamienił kilka słów i oświadczył:

— Będziemy za dziesięć minut na miejscu.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do swego gospodarza:

— Slattery, dzwonił do mnie zaufany człowiek z agencji wywiadowczej Poyntera, któremu powierzyłem dziś rano odszukanie panny Cleo. Zdaje się, że natrafili już na jej ślad. Czy pójdzie pan ze mną?

— Oczywiście.

Kilka chwil po tym siedzieli już w taksówce i jechali w stronę parku. Po dwudziestu minutach wysiedli przed jakimś drugorzędnym domem czynszowym. Na schodach czekał jakiś młody człowiek.

— Czy pułkownik Hudson? — zapytał.

— Tak jest — odrzekł zagadnięty. — Czy należy pan do agencji Poyntera?

— Tak, panie. Na górze czeka właśnie pan Poynter na pana pułkownika.

Po ciasnych i wąskich schodach wspinali się na szóste piętro, poprzez wyziewy ubogich kuchen, piwa, tytoniu i paczuli, ziejących ze źle wietrzonych mieszkań. Gdzieniegdzie otwierały się drzwi i jakieś podejrzane oblicza przyglądały się intruzom. Na szóstem piętrze czekał na nich głośny ze swych wyczynów detektyw Poynter, będący niegdyś na służbie państwowej. Zamienił uścisk dłoni z pułkownikiem i skłonił się w stronę Granta.

— Mamy tu nieprzyjemną robotę, pułkowniku, chciałbym, aby panowie weszli do środka, zanim jeszcze przybędzie policja.

— Niechże pan opowie, co się stało.

— Przedewszystkiem — zauważył detektyw — niech panowie zauważą, że dzwonek do mieszkania dziewczyny został odcięty. Czy widzi pan ten drut? Został przecięty nożycami przed godziną. A teraz poproszę panów do środka, lecz uprzedzam, że widok będzie dosyć przykry.

— Co stało się z dziewczyną? — zapytał Grant nieswojo.

— Umarła — odpowiedział Poynter z powagą. Maskował tu ktoś samobójstwo. Osobiście jestem przekonany, że to zwykłe morderstwo. Drzwi pokoju były zamknięte na klucz, którego w pokoju nie można było odnaleźć. Tędy proszę panów. Czuć tam jeszcze gaz, choć przed godziną otworzyłem okno.

Weszli do małej izdebki, będącej mieszkaniem dziewczyny. Na łóżku leżał ciepły jeszcze trup, nakryty prześcieradłem. Poynter odsłonił twarz dziewczyny, lecz zakrył ją natychmiast. W okolicach głowy był przewód gazowy, przy którym wisiała gumowa rurka. Powietrze, mimo otwartego okna, było jeszcze dosyć silnie przesycone gazem.

— Nie żyła już, kiedy zdołałem oderwać zamek — objaśniał Poynter — a kiedym wszedł do pokoju, myślałem, że zapach mnie udusi Z trudem podszedłem do okna.

— Czy wszystko to wskazuje na samobójstwo? — pytał Grant?

— Twierdzę z całą pewnością, że nie — odparł detektyw. — Nietylko odcięty był drut od dzwonka, ale i telefon. Leżał na ziemi w okolicach okna, które było zabite świeżo wbitym gwoździem. Nie ulega wątpliwości, że jakiś bardzo silny mężczyzna trzymał ją w ten sposób do ostatniej chwili, wreszcie wyszedł i zamknął za sobą drzwi na klucz. Znalazłem nawet i ślady rąk na jej szyi.

Grant napróżno szukał w pokoju jakiejś notatki lub listu.

— Zabrała ze sobą do grobu resztę swych tajemnic — rzekł Hudson. — Należałoby, Poynter, zwrócić uwagę policji na ślady morderstwa. Można im powiedzieć, że obaj je dostrzegliśmy.

— Z mojej strony poproszę, aby jej stąd nie zabierać jeszcze. Zajmę się osobiście pochowaniem zwłok — dorzucił Grant.

Detektyw obrzucił raz jeszcze izdebkę przenikliwem spojrzeniem fachowca.

— Mam wrażenie, że zorjentowałem się już, co do typu i rodzaju prześladowcy tej biednej dziewczyny. Czy nie mają panowie nic przeciw temu, abym postarał się go wykryć?

— Absolutnie nic, Poynter. Nadmienić muszę, żeby pan tę całą aferę potraktował jako sprawę państwową. To biedactwo było w posiadaniu jakichś tajemnic politycznych i dlatego padła ofiarą zabójstwa — odparł Hudson.

— Przedstawię raport panu pułkownikowi za kilka dni — oświadczył detektyw.

Grant wsiadł z Hudsonem do czekającej na nich przed domem taksówki. Ogarnęło go uczucie przerażenia i żalu. Atmosfera samotnej izdebki dziewczyny, jej tragedja i okrucieństwo mordu silnie podrażniło mu nerwy.

— Gdybym mógł w tej chwili opleść palcami szyję tego ohydnego Itasha, napewnobym go zdusił jak psa. Cóż pan myśli o tej całej aferze, Hudson?

— Sądzę, że Poynter miał absolutną słuszność. Z każdą chwilą zaczynam coraz bardziej dzielić pana stanowisko. Zaczynam święcie wierzyć w istnienie spisku.

— Zaczyna pan wierzyć — powtórzył Grant, gdy auto zajeżdżało przed hotel. Hudson potakiwał głową.

— Nie będzie mnie pan teraz przez jakiś czas widywał. Może to trwać dobę lub dwie, gdyż będę pracował w najróżniejszych stronach i kierunkach. Pan i Stoneham prowadźcie tymczasem dalej waszą propagandę, nawet o ile sprawy będą wyglądały beznadziejnie. Nie radziłbym wam opuszczać hotelu dłużej, niż na godzinę lub dwie i bez zostawienia wiadomości, dokąd się udajecie.

Uścisnęli sobie dłonie i rozeszli się. Grant lawirował w tłumie gości, znajdujących się w westibulach hotelu. Kierował się w stronę sali restauracyjnej, gdy u jej wejścia natknął się na Itasha. Kilka kroków od niego przeglądała się w lustrze panna Yvonne. Grant zawahał się przez chwilę, wreszcie zatrzymał się, udając, że nie widzi wyciągniętej na przywitanie ręki kosookiego arystokraty.

— Mam dla pana pewne informacje, hrabio — zwrócił się doń.

— To bardzo łaskawie z pana strony — brzmiała uprzejmie wyczekująca odpowiedź.

— Przybywam w tej chwili właśnie z odległej części miasta i bardzo ubogiego mieszkanka, do którego zostałem wezwany, aby rozpoznać trupa panny Cleo.

(D. c. n.)

Błędy w pielęgnowaniu urody

Z treści poprzedniego artykuliku wynika, iż drobne nawet wykroczenie przez zastosowanie nieodpowiedniego środka, w wypadku tłustej właściwości cery, niszczy ją, choćby odtłuszczano ją gorącą wodą, *proszkiem marmurowym „Miraculum“* i odtłuszczającym pudrem *higienicznym* D-ra Lustra. Wystarczy bowiem kilkakrotne wymycie mydłem lub jednorazowe wtarcie kremu w tłustą cerę, nie mówiąc już o masowaniu takiej twarzy kremem *„Mira“* lub *„Oxa“* co z dobrym skutkiem stoi prysczce. Korzystne jest naparzanie tłustej cery nad parą przez 6 — 8 minut, poczem spłókuje się twarz gorącą wodą. Błędne atoli byłoby powlekanie tłustej cery przed naparzeniem ożywczym kremem„ *Mira* lub *„Oxa“* co z dobrym skutkiem stosowane bywa w wypadkach *prawidłowej* i *suchej* oraz *więdnącej* cery. Nawiasem wspominam, iż cera prawidłowa a zwłaszcza sucha wymagają pudru o własnościach zmiękczających naskórek. Do tego celu wskazany jest jedynie puder *egzotyczny D-ra Lustra.* Łuszczenie się tłustej skóry zwalcza się — podobnie jak suchej —*Mleczkiem — Lityną* D-ra Lustra.

Dr. Z. B.

Betty Amann — „7 DNIOM"



Piękna artystka filmowa Betty Amann wystąpi obok Samborskiego w nowym filmie polskiej produkcji. p. t. „Niebezpieczny Romans"

Złośliwość z zagrobu

Śmierć, wyrywająca często niespodzianie ludzi z grona żyjących, uważaną jest za jedyny w swoim rodzaju wypadek, w którym ustaje wszelka zależność pomiędzy zmarłym a żyjącymi. Nawet weksle, podpisane kiedyś prywatnie przez nieboszczyka, tracą swoją moc prawną. Istnieje jednak furtka wyjścia, przez którą zmarły może wyciągnąć swą dłoń, by przyczyniać tem swoim najbliższym niemało nieraz kłopotu i przykrości. Jest to testament, ten nieubłagany w swych skutkach i broniony przez prawo dokument, broń, którą dowcipny i złośliwy „umrzyk" wojuje z wytrwałością, godną lepszej sprawy. Będąc bezwzględnym autokratą, testament, może być trudnym do wykonania i osobliwym, równocześnie jednak niewzruszonym, „murowanym". Tak zwane złośliwe testamenty, mające na celu wydziedziczenie spadkobierców, lub też wypłacenie nieznacznego odszkodowania ,opatrzone są śmiesznemi klauzulami, ujętemi w sarkastyczne uwagi i zastrzeżenia. Najsurowszemi testamentami są te, które, pisane z chęcią wywarcia zemsty, ograniczają osobistą swobodę spadkobiercy. Tego rodzaju „ostatnia wola" maluje tylko charakter zmarłego w niekorzystnych dla niego barwach.

Najzłośliwszemi są testamenty, które zabraniają wdowie, córce lub synowi wstępowania w związek małżeński, pod grozą utraty spadku. Zdradzają one z jednej strony bezgraniczną zazdrość, dosięgającą jeszcze po śmierci nieszczęśliwą ofiarę, względnie wielką nienawiść. Pewna Hiszpanka, która pozostawiła po sobie ogromny majątek, zapisała swoim krewnym *worek z piaskiem*, a mężowi wszystkie pieniądze, z tem zastrzeżeniem jednak, że wolno mu żyć jedynie z procentów. W razie, gdyby się ożenił powtórnie, traci wszystko. Tylko w tym wypadku wolno mu podjąć cały kapitał, jednorazowo, o ile zostanie zakonnikiem. Cała tyranja tej kobiety wyszła na jaw dopiero po jej śmierci. Mąż jej, Bogu ducha winny, niczem się nie naraził za życia swej małżonce. Jedynym motywem powyższej klauzuli była złośliwa zazdrość.

Rzadszemi są wypadki, kiedy zmarły uzależnia otrzymanie spadku od wykonania pewnego zadania, przewyższającego siły spadkobiercy, lub też od zawarcia małżeństwa z tą, a nie inną osobą. Pewien amerykanin zapisał 250.000 dol. swej żonie, ale pod warunkiem, że wyjdzie zamąż za dziewięćdziesięcioletniego żebraka, który prosił o jałmużnę pod miejscowym kościołem. Żebrak ów był kaleką od urodzenia i posiadał powykręcane nogi, pozbawione palców i całe ciało pokryte wstrętnemi, ślimaczącemi się wrzodami. Inny znów dziwak, którego pasją całego życia było uczęszczanie co wieczór do cyrku, opatrzył swój testament klauzulą, w której zlecił wypłacenie swej córce 40.000 funtów szterlingów, ale tylko w tym wypadku, o ile wstąpi do cyrku i zostanie ekwilibrystką na trapezie. Przytem, dopiero po roku pracy w cyrku, wolno jej podnieść pieniądze.

Nawet dla psychologa jest rzeczą częstokroć dość trudną rozwiązać węzeł motywów, jakiemi kierowali się piszący tego rodzaju testamenty. Z jednej strony mogła to być chęć dokuczenia znienawidzonej osobie, nienawiść, która będąc sztucznie tłumiona za życia, wybuchła teraz w najokrutniejszej formie. A może ręką, piszącą ostatnie polecenia, kierowała rozpacz i żal za życiem, oraz zazdrość pozostawiania innym tego, co było może kiedyś dla zmarłego najdroższem lub najświętszem.

I należałoby raczej tym ludziom wybaczyć, aniżeli ich przeklinać. Sami oni napewno nie zdają sobie z tego sprawy, że dobra ich, zdobyte przez spadkobiercę drogą dokładnego spełnienia ich ostatniej i dziwacznej woli, nie przyniosą zmarłemu żadnej efektywnej korzyści. Odebrać mogą tylko radość życia, a same odniosą phyrrusowe zwycięstwo. *(h. k.).*

Okładkę projektował Jerzy Radlicz

Walka o dolary

II.

Cóż w tem dziwnego, że ludziska w Stanach Zjednoczonych namiętnie oddawali się i oddają dotychczas spekulacji... Niebywałe sukcesy poszczególnych jednostek, które z paru groszy niemal wszelkiemi drogami dorabiały się ogromnych majątków, wywierały magnetyczny wpływ na tłumy. Gorączka złota stała się ogólną chorobą, tem trudniejszą do opanowania, iż jednostki, o których wspomnieliśmy, musiały dla własnej korzyści i gwoli zamaskowania swej taktyki, opierać się na zainteresowaniu mas w operacjach giełdowych. A że w wyniku tych hazardownych rozgrywek zawsze tak bywa, że jedni zwyciężają, a drudzy padają — nikt się nie zraża chwilową, być może, nieudaną.

Jedną z klasycznych postaci w świecie wielkiej finansjery amerykańskiej, był Daniel Drew, który z niczego doszedł do olbrzymiego majątku.

Kim był Daniel Drew? Urodzony w r. 1797 rozpoczął karjerę życiową jako błazen cyrkowy. Przerzuca się wkrótce na handel bydłem, zostaje później właścicielem jadłodajni i znów powróciwszy do bydła, na tym handlu dorobił się pierwszych podstaw do majątku.

Przedziwny był to człowiek. Łączył w sobie głęboką religijność z wrodzonym sprytem oszukańczym, jak naprzykład w wypadku, do którego przejdziemy bezpośrednio.

Oto Daniel Drew zajmuje się, jak mówiliśmy, handlem bydła. Zarabiając nie mało w tej dziedzinie, pragnął jednak odrazu wybić się na czołowe stanowisko w świecie wielkich interesów. W tym celu ucieka się do podstępu, „nabierając" bogatego rzeźnika z New Yorku, Henryka Astora. Drew więc spędza bydło do miasta. Zatrzymuje się w New Yorku i jednocześnie rozpuszcza pogłoskę o tem, że partja, która prowadzi, zawiera niezmiernie piękne okazy. Bydło w samej rzeczy było zachudzone. Drew nie okazuje jednak niepokoju, gdyż szwindel musi go postawić na nogi. W nocy więc, po przybyciu do New Yorku, przestaje karmić zwierzęta, rozsypuje natomiast przed niemi kilka worków soli. Nazajutrz przed przybyciem kupca Astora poi intensywnie bydło, które w oka mgnieniu — puchnie, i nabierając wagi przynosi zyski spryciarzowi. Historja ta dała źródło do powiedzenia, które powstało w kilka lat później, kiedy Drew stał się potentatem giełdowym — o „mokrych walorach", jakiemi lubi operować.

„Mokra" ta operacja z bydłem najzupełnie odpowiada innemu powiedzeniu — tym razem samego Daniela Drew, iż „jeśli kot ma apetyt na rybę, nie dostanie jej dopóty, dopóki łapek nie umoczy".

Specjalność finansowa Drew'a, oprzeć się miała na tem, iż został t. zw. „insiderem", czyli, innemi słowy, człowiekiem, usiłującym przeniknąć interesy wewnętrzne przedsiębiorstw.

Cechy te, jak widzimy, nie przemawiają na korzyść „Wujaszka Dana". To też nie cieszył się nigdy popularnością, mimo, że z drugiej strony, powodowany uczuciem religijnem, hojną ręką rozdaje datki na przeróżne fundacje, jak założenie seminarjum duchownego, budowa kilku kościołów i t. p.

Nim przejdziemy do dalszych losów Drew'a musimy się zająć dwoma innymi ludźmi, z którymi związał się na długie lata, zdradzając wspólnika swego do wielu interesów, Vanderbilta. Tymi złymi duchami Drew'a mieli zostać Jay Gould i Jim Fisk.

Na specjalną uwagę w tym zespole zasługuje zwłaszcza Gould, człowiek obdarzony niezwykłemi zdolnościami, a zarazem przebiegły i bezwzględny w metodach walki. Dość powiedzieć, że dwaj inni jego wspólnicy, z którymi rozpoczął swą karjerę na giełdzie, Smith i Martin, zginęli z jego ręki w żałosny sposób — Smith w zakładzie dla obłąkanych po stracie całego majątku, a Martin doszczętnie zrujnowany i sromotnie usunięty z giełdy.

Jim Fisk był nie lepszy. Karjerę swą rozpoczął w jednej z większych firm, handlujących manufakturą, z której, po dokonaniu w imieniu pracodawców całego szeregu podejrzanych operacyj, został usunięty, a że jednak był wspólnikiem firmy musiano mu zapłacić odszkodowanie w wysokości 60.000 $.

Związawszy się z tymi ludźmi, Drew, rozpoczął kampanję przeciw Vanderbiltowi, narażając go na dotkliwe straty na terenie operacyj akcjami kolejowemi Erie. Perypetje tej walki obfitują w momenty nadające się do traktowania kryminalnego. Trójka spekulantów musiała nawet uciec z miljonami, zagrabionemi wprost od Vanderbilta, do innego stanu, gdzie przygotowali się do stawienia zbrojnego oporu, na wypadek gdyby przeciwnik, nie gardzący podobnemi metodami działania, zechciał ich zaatakować.

Nastręcza się w tem miejscu pytanie, jakie w tem wszystkiem zajęły stanowisko władze administracyjne i sądowe? I oto okazuje się, że, w owym okresie czasu, łatwo było omijać wszelkie przeszkody prawne drogą przekupywania kompetentnych czynników, a w walce, prowadzonej o miljony dolarów, nie żałowano na to środków.

Wojna została wreszcie zakończona polubownie, a w wyniku tej ugody Vanderbilt odzyskał część poniesionych strat, Drew zaś został wygryziony ze spółki przez Goulda i Fiska.

Ostatnia faza działalności Drew'a na tle spekulacji, którą zaczął prowadzić przeciw Gouldowi, wypadła w okresie nader krytycznym na rynku. Publiczność w podobnych chwilach, wciągana mimowoli do gry przez szalone wahania, wykazywane dzięki machinacjom potentatów finansowych, poniosła kilkakrotnie niesłychane straty. Banki zaś, które przy ożywieniu tranzakcyj, łatwo mogą stracić właściwą orjentację i naruszyć w interesie kupujących swoje fundusze oraz rezerwy, przeżyły nader ciężkie chwile. Musiano nawet w momencie kulminacyjnym uciec się do interwencji skarbu.



Tylko o wczesnej godzinie cisza panuje na ulicach New Yorku.

Drew, przyciśnięty do muru, tracił grunt pod nogami. Nie dość, że zawrotne tempo akcji, przedsięwziętej przez jego przeciwników, zmusiło go do poddania się i likwidowania tranzakcyj ze stratą; poczęto go atakować z powodu dawnych sprawek — nie koniecznie legalnych — i znów musiał płacić, aż wreszcie pamiętna panika w r. 1873 doprowadziła go do utraty całego majątku. Jedyne, co mu pozostało — to garstka gratów i książek ogólnej wartości... 530 dolarów.

Walka prowadzona na terenie giełdy i banków o pakiety tych lub innych akcyj i walorów, może być łatwo przeniesiona na grunt czysto handlowy. Oto naprzykład wypadek, który, oczywista, mógł wyniknąć tylko w owych czasach, kiedy taryfy kolei znajdujących się w rękach prywatnych, nie podlegały kontroli ze strony rządu. Mamy tu na myśli rywalizację pomiędzy towarzystwami New York Central, należącem do Vanderbilta i Erie, które dostało się Gouldowi. Mając na względzie, że obie te linje czerpały znaczną część swych dochodów z przewozu bydła z Buffalo do New Yorku i że chodziło o obniżenie wartości tych akcyj, Vanderbilt zredukował taryfę z $ 125 do $ 100, wobec czego Gould doszedł do $ 75. Central odpowiada redukcją do $ 50, Erie do $ 25, aż doszło wreszcie do tego, iż Vanderbilt, wyprowadzony z równowagi, ogłosił śmieszną wprost taryfę do $ 1. Czyż jednak stanowić to mogło o zwycięstwie, chociażby moralnem? Okazało się wkrótce, iż Gould, aczkolwiek zrezygnował z walki taryfowej, odbił się o wiele korzystniej, gdyż zajął się gwałtownie handlem bydłem, które przewoził po $ 1 za wagon na linji przeciwnika. Tym sposobem Gould zrealizował nawet wcale pokaźne zyski. Nie ulega wątpliwości, że skutki tego świetnego napozór sporu, musiały fatalnie odbić się na cenach, pobieranych przez hurtowników



Oryginalne „bungalow" pierwszych osadników z Kalifornji, którzy znaleźli sobie schron w nadgnitem drzewie. Dzisiaj rodziny ich posiadają zapewne miljony i pałace...

To, tamto i owo



Prezes Towarzystwa Łotewsko - Polskiego, b. premjer Skujenieks, przyjął w dniu 19 maja dziennikarzy, z którymi odbył rozmowę, dotyczącą zbliżenia polsko-łotewskiego.

STAL ZAMIAST DRZEWA.

Ostatnio stal okazała się daleko praktyczniejszym materjałem do budowy, aniżeli drzewo. W Punta-Arenas, na Costa Rica, zostało niedawno wybudowane molo, z nierdzewiejącej stali, długości 150 metrów, oraz most, doprowadzający do mola, długości 320 metrów. Do budowy tego gigantycznego objektu użyto pali stalowych, osiemnaście metrów długich, które wbijano w dno morskie na głębokość 5 metrów. Górna nawierzchnia mola i mostu wykonaną została również z płyt stalowych, połączonych ze sobą, dla większej wytrzymałości, gniazdami z betonu.

LUDNOŚĆ UCIEKA Z GÓR!

Profesor H. Bernard, na podstawie materjałów statystycznych, zbieranych od pół wieku, zbadał nowoczesne wędrówki narodów w Europie, które, nieznaczne dla oka ludzkiego, trwają bezustannie. W badaniach swych natrafił na znaczne przeszkody ze względu na gęstość zaludnienia, która utrudniała dokładne obliczenia. Do najściślejszych rezultatów doszedł, badając Szwajcarję, Alpy oraz Południową Francję. Stwierdził mianowicie stałe wyludnianie się krajów górzystych, szczególniej zachodniej połaci Alp. Przyczyny tej ucieczki z gór, należy szukać w zjawiskach natury gospodarczej. Wieś wyludnia się kosztem miast przemysłowych. W swych obliczeniach, opartych na rachunku prawdopodobieństwa, profesor Bernhard doszedł do przekonania, że za lat 300 rolnik będzie tylko okazem muzealnym, a przyszłe rządy będą musiały siłą deportować ludność na wieś, celem uprawy roli. Wyniknie więc wówczas problem, jak uchronić ludzkość od śmierci głodowej. Że będzie to powodem niepokojów, zamieszek, a może światowej rewolucji, jest rzeczą więcej jak pewną. Całe szczęście, że my nie doczekamy tych czasów, kiedy najważniejszem zagadnieniem gospodarczem będzie... skąd dostać bułek na śniadanie.

OSTROŻNIE Z PIESKAMI!

Czy nie zauważyliście niejednokrotnie, że pies, choćby najlepiej i najobficiej karmiony, lubuje się w pożeraniu wszelkich nieczystości? Faktu tego nie należy przypisywać złemu smakowi psów, lecz zgoła innemu zjawisku, którego istotę dokładnie zbadał i określił profesor berliński, dr. Hesse. Uczony ten stwierdził, iż jeśli alkaloidy, powstające przy rozkładaniu się roślinnego lub zwierzęcego białka — są szkodliwe dla człowieka, to natura psia wymaga właśnie tych substancyj, które znajduje w różnych odpadkach, dla życia. Nie znaczy to jednak, byśmy nie mieli powstrzymywać pieski przed zwyczajem spożywania nieczystości, gdyż obok alkaloidów zawierają one zarazki gruźliczne, zwano bakterjami Kocha. Opierając się na niektórych danych, dostarczonych na kongres higjeny międzynarodowej z roku 1927, odbyty w Grand, stwierdzić możemy, iż do 13 proc. psów i do 11 proc. kotów jest zarażonych gruźlicą (badania przeprowadzone w instytucie weter. w Alfort). Poza temi danemi stwierdzono również, iż łatwo od psów zarazić się zarodkami robaków, tak zw. bąblowca, oraz wieloma innemi chorobami.

Wśród książek

Jubileusz i książki Mecenasa Hofmokla-Ostrowskiego.

Znany i ceniony adwokat i wydawca „Forum", Hofmokl-Ostrowski obchodził w tych dniach (2 maja) trzydziestoletni jubileusz swej pracy. Dzielny obrońca ma za sobą także niemałe zasługi literackie. Obok powieści, szkiców i nowel obok ciekawego wydawnictwa „Forum" (czasopismo polemiczne, poświęcane przeważnie wielkim procesom i wydarzeniom politycznym) Dr. Hofmokl-Ostrowski wydaje także bardzo cenne „Pamiętniki Adwokata", zalecające się nietylko doborem bardzo ciekawego materjału, który nierzadko może odegrać rolę pomocniczego archiwum historyczno-obyczajowego, ale także niewątpliwemi wartościami literackiemi, ostrością satyrycznego pióra, bystrością spostrzeżeń, i oryginalnością sądu. Kto czyta książki tego zawsze „niecodziennego" i żywego adwokata, nie znudzi się napewno. To też notując na tem miejscu fakt, że po 30-tu latach pracy mecenas Ostrowski pracuje bez przerwy po dawnemu, chcieliśmy oddać nietylko należne zasługom jego uznanie, ale i czytającej publiczności przypomnieć jego ciekawe wydawnictwa.



PARY, JAKICH MAŁO



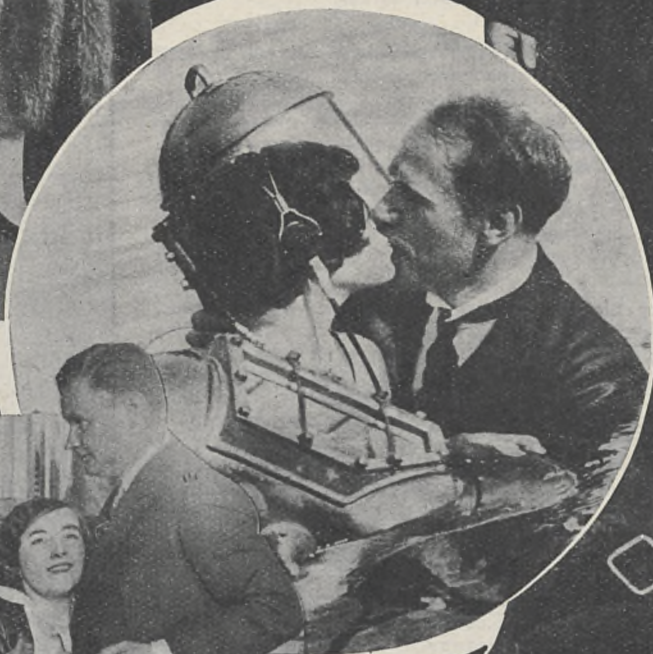
Najwyższy mężczyzna skąd?... Oczywiście z Ameryki, którego młoda żona czuje się świetnie pod jego opiekuńczemi „skrzydłami".

Cyrk Barnuma może się poszczycić przebojowym numerem, w którym występuje para małżeńska: ona wagi 425 funtów, on tylko 52.



Istnieją jednak pożycia małżeńskie, cośkolwiek krępujące. Para sióstr sjamskich Mary i Małgorzata Gibb, wyszła zamąż za parę przyjaciół. (u dołu z lewej strony).

A ta para u dołu, zachorowała na oryginalność Bierze ślub w morzu. Prawdopodobnie jednak, nie ochłodzi to ich gorącej miłości.







Jednak wielka miłość nie zna różnicy wieku. W Rochester (U. S. A.) 34-letni mężczyzna poślubił 82-letnią staruszkę. Podobno żyją szczęśliwie. Szczęść Boże „młodej parze".

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefony 525-85 i 99-03. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca .

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.